№ 44. Warszawa, dnia 31 (19) Października 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA GRZECZNOŚCI.

Gdyby władza na wysokiem stanowisku nie miała uroku, możnaby poważnie zapytać, czy lepiej być poszturgiwanym kopciuszkiem, czy austryackim ministrem. Sterowanie nawą państwa, zlepionego z tylu najróżnorodniejszych żywiołów i zahypnotyzowanego politycznie z zewnątrz — nie jest robotą łatwą. Niepodobna wyobrazić sobie człowieka, któryby zdołał zadowolić: niemców, polaków, węgrów, rusinów, czechów, słowaków, słowieńców, kroatów itd. Co najwyżej można dogodzić jednemu lub kilku żywiołom — od reszty przy każdej sposobności trzeba przyjąć kułaki. Dostają się też one ministrom austryackim obficie. Wiedeńska Rada państwa nie odpoczywa w skandalach. Zwłaszcza zaś od czasów, gdy rządy przeszły do prawicy, lewica występuje ciągle jako banda opryszków parlamentarnych. Źródło zuchwalstwa tkwi w jej narodowości. Niemcy „uciśnieni" przez „ludy niekulturne" a mający za ścianą wielkiego Herkulesa z maczugą — to przecież okropność, wzywająca o pomstę do niebios! Wiadomo zaś, jak łatwo „ucisnąć" niemca. Wolno ze słowiańskiej bryły zrobić płaszczyznę— i jeszcze ona będzie w „stanie prawnym;" ale gdy robotnik czeski rozbija w kłótni kufel o niemieckiego, posłowie lewicy rozbiją tysiące wymysłów i brutalstw o ministra Taaffego. Chwilami blady, chwilami siny lub czerwony stał on właśnie przed kilku dniami pod ulewą złorzeczeń, wcale niecedzonych parlamentarnie: powiedziano mu, że jest kłamcą, bezwstydnikiem, potwarcą itd. — bo oskarżył lewicę o sianie niesnasek w armii i nie chciał natychmiast ustanowić sądu kaduka na czechów, którzy się pobili z niemcami.

Ile razy tylko rząd austryacki ma jakiekolwiek kłopoty, pierwsi usuwają mu wszelkie przeszkody „rewolucyoniści" z bajki, opowiadanej dotąd przez polityczne prządki, — polacy. Gdyby Kraków stanął w płomieniach a ugasić pożar mogła tylko sikawka z Wiednia sprowadzona, stańczycy zatelegrafowaliby: prosimy o sikawkę, jeżeli jej przejazd pod oknami Burgu nie sprawi zbyt hałaśliwego turkotu. Błotna kąpiel prezesa gabinetu z powodu bijatyk czesko-niemieckich była przewidzianą; tymczasem Koło polskie musiało wnieść interpelacyę w sprawie wydaleń pruskich. Pojmujemy tragiczność położenia, w którem Cezar-Taaffe, obskoczony przez posłów galicyjskich i ugodzony przez ich rzecznika zawołałby: i wy Brutusy przeciwko mnie? Na szczęście scena ta odbyła się spokojnie, prawie sielankowo: wniesiono interpelacyę, minister odpowiedział na nią, że rząd pruski uważa wypędzanie obcych przybyszów za sprawę czysto wewnętrzną, austryacki zaś swoim poddanym wedle sił złagodzi niedolę. Nad jego słowami unosił się duch niemej skargi: i wy chcecie, ażebym ja, biedny Taaffe, wyzwał do walki potężnego Bismarka? Galicyanie, którzy w takich wypadkach mają bardzo delikatne czucie, poprzestali na tej odpowiedzi tak dalece, że nie otworzyli dalszej ogólnej rozprawy, mimo namów lewicy. Wywołanie takiej dyskusyi —objaśnia *Czas*— „byłoby nadzwyczaj pożądanem dla opozycyi, któraby i z tej okoliczności skorzystała dla wystąpienia przeciw hr. Taaffemu. Na dowód tego dość przytoczyć, że dziś właśnie w Izbie zapytywał dr. Plener p. Grocholskiego: czy Koło polskie zażąda dyskusyi nad odpowiedzią, gdyż kluby niemiecki i austro-niemiecki uchwaliły w takim razie poprzeć polaków?"

Sama więc obawa narażenia ministra na spór z opozycyą wystarczyła do zamknięcia ust posłom galicyjskim, których serca przepełniła boleść nad niedolą pruskich wygnańców. Przyznajmy, że była to grzeczność, granicząca z... rycerskością. Podczas gdy Koło polskie w sejmie niemieckim rozmyśla, jakimby sposobem „wywołać ogólną dyskusyę" o wydaleniach, takież samo Koło w parlamencie austryackim zrzeka się jej dla spokoju hr. Taaffego. *Czas* usiłuje wmówić w swych czytelników, że byłaby to rozprawa „bezowocna," nie „mogłaby się skończyć żadnym pozytywnym wnioskiem." Wie ten filut bardzo dobrze, że nie wszystko to jest „bezowocnem," co „nie kończy się pozytywnym wnioskiem;" wie on również, że szersze ujawnienie gwałtu pruskiego, potrzebującego osłon, miałoby bardzo poważny skutek moralny, że ukazanie światu owej tajemnie odgrywanej tragedyi zbudziłoby szereg uczuć bardzo pożądanych dla wygnańców. Dziennik krakowski, nie w ciemię bity, o tem wszystkiem wie, ale po nad niedolę tysiąców nieszczęśliwych wyżej stawia interes ministra.

Przypuśćmy, że to nie proste służalstwo, lecz polityka, która tak rozumuje: losy Galicyi są ściśle związane z losami stronnictwa zachowawczego, w którem dobrą dla niej gwiazdą jest hr. Taaffe; jeżeli więc podrywamy jego stanowisko, narażamy kraj, zrywamy korzystny sojusz.

Weźmy to rozumowanie za słuszne; czyż z niego wszakże wywiedziemy logicznie pochwałę dla grzeczności Koła polskiego? Wszystkie atuty, jakimi lewica austryacka bije karty rządowe w grach politycznych, noszą barwę patryotyzmu niemieckiego, a tuzem śród nich jest ks. Bismark. Nie tai ona wcale ani swego ciążenia do giermańskiej ojczyzny, ani nadziei zrośnięcia się z nią kiedyś. W ostatniej awanturze jeden z przedstawicieli tego stronnictwa oświadczył wyraźnie, że ponieważ katolicki kler niemiecki przeniewierza się interesom narodowym, wierni synowie Giermanii winni pomyśleć o protestantyzmie. Wobec tego byłoby widokiem nader ciekawym: jak lewica poprze polaków a tem samem zwróci swój front przeciwko Niemcom, przeciwko ich i swemu bożyszczu? Cokolwiek by zaś zrobiła, z pewnością w pętlicach *tej* sprawy nie udusiłaby hr. Taaffego, osłoniętego żelaznem skrzydłem Bismarka. Mogłaby ona tylko podminować go wraz z całym gabinetem skargą na zależność od kanclerza, na służbę u niego, na wprowadzenie państwa w stosunek poddańczy; ale tego liberałowie austryaccy nie zrobią, nie będą wygrażali pięścią ku słońcu, do którego się modlą. Z której więc strony zaatakowaliby oni nienawistnego ministra w sprawie wydaleń, nadewszystko czem „wysadziliby go z siodła“ — nie odgadujemy.

Cofnięcie się tedy Koła polskiego nie było wcale krokiem roztropnej taktyki parlamentarnej, ale rycerską grzecznością dla hr. Taaffego. Oświadczył on poufnie, że ta potyczka nie będzie mu przyjemną— i galicyanie zwinęli chorągiewkę. Gdyby to uczynili po raz pierwszy, możnaby ich pozwać przed sąd opinii publicznej. Ale zwijanie chorągiewki, zdaje się, jest głównem zajęciem Koła polskiego. Wszakże jego prezes — fanatyczny czciciel solidarności i karności — odmówił swego udziału w przedstawieniu uchwały co do ceł ochronnych dla Galicyi, ażeby nie „sprawiać kłopotów rządowi.“ Doprawdy można mniemać, że gdyby reprezentacya galicyjska stała się dla tego rządu kłopotliwą, p. Grocholski zakomenderowałby: do domu! w przekonaniu, że zrobił coś bardzo politycznego.

LISTY KRAKOWSKIE.

25 października.

Działalność miłosierdzia. — Tania kuchnia akademicka. — Obraz Chlebowskiego. — Muzeum narodowe. — Projekty na pomnik Mickiewicza. — Teatr.— Niedowiarek i denuncyanci.

Ptaki opuszczają nas z jesienią, uciekając do cieplejszych krajów: tymczasem Galicya staje się sama cieplicą dla innych ptaków wędrownych — dążących ku niej z niegościnnych stron niemieckich. Gdyby najgorętsza praca w celu ułatwienia tułaczom pobytu u nas nie było świętym obowiązkiem uczciwości, wówczas należałoby istotnie oddawać ciągle pochwały obywatelom naszym i prasie za szczere krzątanie się około zaopatrzenia nieszczęśliwych gości. Stronnictwa krakowskie, gotowe zawsze do walki choćby na pazury, godzą się w tym jednym punkcie i robią, co do nich należy; publiczność równie silnie odczuwa powagę celu i przy każdej sposobności składa tego dowody. Zabawa ludowa, urządzona w nowo założonym a już nadzwyczaj popularnym „ogrodzie krakowskim,“ przyniosła piękny dochód. Bezwątpienia i nadal nie poskąpionoby grosza, gdyby tylko ludzie chętni postarali się o nową sposobność do zebrania dobrowolnego podatku. Tymczasem dzienniki nawołują kupców krakowskich do naśladowania przykładu warszawskich kolegów, którzy zrywają stosunki z niemieckiemi firmami. W Krakowie dotychczas nikt jeszcze tego nie przeprowadził czynnie, co po części da się usprawiedliwić, bo skutki niemieckich gwałtów nie dały się nam czuć bezpośrednio a wszelkie kroki wywołuje tu raczej współczucie, niż potrzeba koniecznej obrony. Dopiero w ostatnich dniach uczyniono krok pierwszy i w tym kierunku: aptekarz w Wieliczce, pan Miczyński, człowiek bardzo zamożny, oświadczył agentowi materyałów aptecznych, iż nic z Prus nadal sprowadzać nie będzie, natomiast zamówił francuskie wyroby. Co więcej, na posiedzeniu aptekarzy zachodniej Galicyi ma być postawiony wniosek wspólnego zaopatrywania się w materyały z Francyi i Włoch, a wykluczenia źródeł niemieckich.

Tymczasem z własną domową biedą dość jest do roboty — woła ona nieustannie o pomoc i dopomina się pieniędzy. Pod tym względem użalać się na ociążałość nie można. Dla celów prawdziwie ważnych nie żałuje Kraków grosza: daje go wprost, bez sztuczek, do jakich gdzieindziej potrzeba się uciekać. Nie mamy wcale jednodniówek, zbiorowych wydawnictw, puszczanych w świat na wędę po złote i papierowe rybki, a nad podziw mało daliśmy się bałamucić inaugurowanym tu przed paru laty igraszkom, które arystokracya własnemi osobami wykonywała dla zbierania na dobroczynne cele datków dobrodusznego mieszczaństwa. Najwięcej płynie wprost z kieszeni do puszki. Tym właśnie sposobem zebrane zostały znaczne sumy na założenie akademickiej taniej kuchni pod nazwą „Zdrowie.“ Upragniona od lat wielu, otwarta została dnia 1 października i żywi setki biednych uczniów za cenę kosztu. Społeczeństwo krakowskie zyskało sobie zaszczytne świadectwo dbałości o zdrowie i siły młodego pokolenia i utrwaliło byt bezpieczny jednej z najważniejszych instytucyj publicznych.

Pisząc niedawno o pracy kobiecej w Krakowie zaznaczyłem pomyślny rozwój szkoły robót. Obecnie wykształcone w niej uczennice zakładają samodzielne stowarzyszenie akcyjne, z udziałami pracownic po 100 złr. austr. dla otwarcia własnego sklepu, w którymby ich piękne i praktyczne roboty mogły znaleźć zbyt. Ze sklepem połączona będzie pracownia, w której znajdzie zatrudnienie pewna liczba panien. Jest to pierwsze w Krakowie stowarzyszenie się kobiet ku wspólnej pracy — życzyć mu należy najlepszego powodzenia w przyszłości.

Od kilku tygodni w Muzeum narodowem wystawiony został na widok publiczny obraz Stanisława Chlebowskiego, ofiarowany przez rodzinę zmarłego. Dotychczas żadne z pism krakowskich nie poświęciło wzmianki należnej temu dziełu. Tylko artyści nie szczędzą wyrazów uznania koledze... zmarłemu. Chlebowski za życia mało wystawiał u nas swych prac— nazwisko jego nie było obce polskiej publiczności, ale głównie dla urzędu nadwornego

---

Wieczór św. Sylwestra

przez

Fr. Heritesa.

Już był wieczór. Dawno poszarzało, lecz pan radca Branitzki ostro odprawił wchodzącego do gabinetu ze światłem służącego:

— Nie przeszkadzać, aż zadzwonię.

Jan wysunął się za drzwi, z pół otwartemi ustami, pokorny, tłumiąc i bez tego ciche kroki, jak przystoi lokajom, służącym w wyższych towarzyskich sferach.

Pan radca rozpierał się w wygodnym i eleganckim fotelu, stopy jego deptały pstre pierze wyszytego na czarnej aksamitnej poduszce ptaka, palce mięły jedwabne chwasty szlafroka, wzrok błądził po biurku, przenosząc się obojętnie z przedmiotu na przedmiot, dotykając kolejno to kosztownego z kości słoniowej kałamarza, to stojącej wyżej, przecudnej, wdzięki swe starającej się osłonić, marmurowej Wenery, to lampy bronzowej, naśladującej pompejańskie wzory, to książek bogato oprawnych z pozłacanymi brzegami, to skrzynki małej, przeróżnymi napełnionej papierami...

Ona to wzrok jego zatrzymała dłużej. Wpadające przez okno promienie księżyca igrały z migotliwymi blaskami muszli, któremi pokrytą była. Może by pan radca chciał był stojącą to na uboczu zapomnianą skrzynkę otworzyć. Kluczyk od niej wszakże dawno już stracił... Miałże kazać dorobić nowy? Po co? Czy nie dość, że dotąd przechował, nie spalił tej dziecinnej igraszki ze wszystkiemi zawartemi w niej wstążeczkami i zeschłymi kwiatkami, pierścieniami włosów i zwitkami starych przyjacielskich listów—ba! odpadkami minionej przeszłości.

Przeszłość. Czemuż tak natrętnie zwykła nawiedzać nas ona w ostatni wieczór roku?

Pan radca zmrużył oczy.

W myśli jego różne zaczęły migać obrazy. Ledwie się który zarysuje a już pierzcha. Pan radca nad żadnym nie zatrzymał się dłużej. Tyle w życiu swem widział! Z Wezuwiuszu spoglądał na niezrównaną neapolitańską zatokę, słyszał szum Bałtyku, mógłże dłużej przykuć myśl jego i wspomnienia do siebie ta cicha, skromna czeska wioseczyna, ta powichrzona, ubogą chatę pokrywająca strzecha? Pod tą to jednak strzechą stała kiedyś jego kolebka a nad kolebką kłoniła się twarz matczyna z ustami drgającemi piosenką, czeską piosenką...

Precz! precz! Mijają szybko dziecinne lata od pierwszych nowych łapci na drobnych chłopięcych nóżkach, aż do ślizgawki na wiejskim stawie, do podpatrzonego na szkolnym dziedzińcu gniazda ptasząt, do strachu spowodowanego rozbiciem tabliczki...

— Szczęśliwy wiek pacholęcy! — westchnął pan radca.

A przed nim z po za mgły wspomnień wyłoniła się dawno zapomniana postać księdza proboszcza, w wysokich palonych butach, długiej sutannie i wabnym na dobrotliwej twarzy uśmiechem. „Dzieci kochajcie ojczyznę swą, nadewszystko miłujcie nieszczęsną matkę, rodzimą ziemię,“ dźwięczało ustawiczną zwrotką w ustach starego księdza. Wszak bywali w Czechach i tacy!

A młodzież, z płonącym wzrokiem, słuchała słów pełnych zapału i rozpływała się

malarza, jaki sprawował na dworze tureckiego sułtana Abdul Azisa. Długi pobyt artysty na Wschodzie, subtelne a niezmordowane studya w Kairze, Brussie, Konstantynopolu, zbiory cenne i rzadkie, jakie zgromadził — zjednały mu poszanowanie francuskich malarzów i ci namówili go do zamieszkania w Paryżu. Dla chleba malował z wielkiem poczuciem i wykończeniem małe a pokupne obrazki wschodnie, lecz ciągle nosił w duchu myśl o powołaniu do wielkiego dzieła. Jeszcze w Konstantynopolu powziął zamiar namalowania olbrzymiego płótna, któreby imię jego postawiło obok imion mistrzów pędzla. Za przedmiot obrał wjazd Mahometa po zdobyciu Konstantynopola. Przez wiele, wiele lat robił studya, przetrząsał z teką w ręku zbiory sułtańskie, weneckie, polskie hr. Działyńskich, paryskie Basilewskiego, malował, rysował i szkicował bez końca, gromadząc coraz bogatszy materyał. Obraz rozpoczęty postępował zwolna, bo artysta musiał pracować na życie w Paryżu. W końcu długa, ciężka choroba przerwała tę walkę potrzeb z natchnieniem a śmierć położyła kres rozpoczętemu obrazowi. To właśnie dzieło, olbrzymie, bo 11 metrów szerokie a 5 metrów wysokie, znalazło się w narodowem Muzeum — jako pamiątka po przedwcześnie zgasłym malarzu. Ileż tam prawdy, ruchu, majestatu w tych śmiało rzuconych rysach, zaledwie przeciągniętych farbą!.. Czuje się wspaniałą stolicę wschodniego państwa, perłę Wschodu. Tło stanowi kościół św. Zofii i pałac cesarski — odtworzone w dawnej postaci średniowiecznej z całą ścisłością archeologii—środek obrazu przedstawia posąg Justyniana a u stóp jego wala się kadłub ostatniego bizantyńskiego cesarza, Konstantyna IX — głowa zatknięta na lancy sterczy wysoko. Z prawej strony zbliża się do posągu konny zdobywca — spokojny ową pozorną obojętnością Wschodu. Ubiór jego rysował artysta według oryginalnych szat zachowanych w skarbcu sułtańskim. Konia prowadzą janczary a za świtą cesarską konną ciągnie się jeszcze gwałt i porwanie niewiast — w oddali błyskają ognie pożogi, kłębią się dymy. Od kościoła św. Zofii po stronie lewej idzie lud zgnębiony składać hołd najezdcom. Duchowieństwo ze schylonemi głowami w pokorze oczekuje zwycięzcy. Czy będzie on łaskawy — nie wiadomo, ale cały skarb kościelny, rzucony pod nogi jego konia, może okupi łaskę. Jest to chwila dziwnie dramatyczna. Skarbu nie namalował jeszcze artysta, ale co to za skarb miał być, możemy sobie wyobrazić ze studyum prześlicznego, będącego również własnością Muzeum. Uczucie nieprzepartego smutku ogarnąć musi każdego, gdy w samotnej sali patrzy na nieskończoną a tak szeroko zamierzoną pracę zgasłego malarza. Pracował dla chleba, często bez miłości dzieła, w obrazeczki kropla po kropli wlewał siłę swego talentu — a żył jedną tylko myślą, że Mahomet nie da imieniu jego zaginąć w pośród powodzi bezimiennego gminu artystów. Tego Mahometa ukochał, śnił o nim, dla niego nie szczędził trudu — a jednak musiał go porzucić, bez upragnionej pociechy, bez oglądania przewodniej myśli długich lat w piękne, skończono kształty. Dzieło jednak pozostanie świadectwem podniosłych chęci i choć nie wydarło się jeszcze z powicia i wiecznie w niem zostanie, tylko prostak może je minąć bez wzruszenia.

Inne sale Muzeum narodowego, mimo niesumiennej obojętności, jaką instytucyę darzy artystyczno-miejski komitet, przedstawiają, dzięki zabiegom dyrekcyi i ofiarności ogółu — całość pod pewnym względem zaokrągloną. Na okazach przedstawiono główne fazy naszej sztuki z przeszłości i obecnej chwili, w sposób bardzo pouczający i pełen interesu. O kamcach tylko — z któremi komitet nosił się i nosi, jak kura z jajem — nic a nic nie słychać a nikt się też o nie troszczy. Muzeum posiada dobrze przedstawioną sztukę cerkiewną Rusi galicyjskiej, sztukę cechową kościelną, t. j. obrazy malarzy naszych z XV i XVI wieku — ma dział malarstwa XVIII wieku i pierwszej połowy bieżącego stulecia. Najwięcej zajęcia budzi w publiczności malarstwo nowożytne. Obok *Świeczników Nerona* i *Hołdu pruskiego* będziemy mieli prace Brandta a już dziś jest do 40 malarzy z ostatnich czasów. Dział rzeźby nie pokrzywdzony również.

A propos rzeźby godzi się wspomnieć, że pp. Rieger i Gadomski kończą projekty pomnika Mickiewicza według Matejki, przerabiając je w glinie. Robota otoczona tajemnicą, przez którą nie może przebić się śmiertelne oko. Co to będzie? Trudno wiedzieć, ale choć p. Jenike z Warszawy zalecał spokój, zdaje się, że i nagość została i allegoryczne postacie widnieć będą na posągu. Już w tym miesiącu projekty miały być wystawione na widok publiczny, nie przyszło to do skutku. Czekajmy więc na wystawę, a wtedy napiszę więcej.

Teatr krakowski wszedł w nową fazę, którą mu zapewnił p. Koźmian, opuszczając kierownictwo. Ta przymusowa abdykacya nie obeszła się bez właściwych stańczykom komedyj i chęci ratowania „sytuacyi.“ Nie mogąc się utrzymać przy sterze rozbitego okrętu, wskutek buntu załogi, p. Koźmian chciał sobie zapewnić „szlachetną ucieczkę,“ budując mosty z frazesów „o przywiązaniu do sceny“ i „obowiązkach“ zarówno w starym *Czasie*, jak i młodocianym *Biczu*. Ale to nie pomogło; mimo silnych reklam i hasła „stoimy i stać chcemy...“ nogi nie dotrzymały i gmach runął, zostawiając uprzątnięcie gruzów spółce pp. Sarneckiego i Gliksona. Odziedziczyli oni wszystkie siły ogródkowe warszawskie, zaangażowane jeszcze przez p. Koźmiana, i zaniedbane dekoracye z opuszczonym teatrem. Usłużna reklama w *Czasie*, *Słowie*, *Przeglądzie* i *Biczu* podnosi pod niebiosa stan teatru i personelu, w którym p. Hofmanowa ma być perłą. Że jednak ani jedna jaskółka wiosny, ani jedna aktorka teatru nie stanowią, przeto zapisując wrzask reklam na dobro... staranności dyrekcyi, resztę działań zostawiamy do późniejszej oceny, kiedy oprócz nowych portyer w łożach, zobaczymy nowe sztuki na scenie a obok kilku odnowionych dekoracyj lepszych aktorów. Powoływanie się na p. Hofmanowę i p. Szymanowskiego, któremu każą grać dwa razy na wieczór, nie jest jeszcze „odbudowaniem teatru, a to przecież leży w zakresie obowiązków naszej spółki.“

Prawdziwym kubłem wody lodowej na głowę optymisty, któryby wierzył zbytnio w postęp krakowski, jest świeży wypadek a raczej skandal, jaki zdarzył się w starodawnem gimnazyum św. Anny. Jeden z uczniów klasy siódmej, młodzieniec nieposzlakowany pod względem moralnym a przytem pilny i zdolny, zgłosił się do dyrektora zakładu z prośbą o uwolnienie go od obowiązującej spowiedzi, ponieważ wychowanie, jakie odebrał w rodzicielskim domu, oraz osobiste przekonania — nie dozwalają mu wierzyć w ten sakrament. Dyrektor na razie nie wiedział, co począć z tem zagadnieniem dogmatycznej natury; jednak po namyśle pozwolił mu postąpić zgodnie z życzeniami, a co więcej nieproszony zgoła uwolnił od spowiedzi młodszego brata tego ucznia. Sprawa nie skończyła się na tem. Rozpoczęto śledztwo a wynikiem jego było protokularne stwierdzenie, iż winowajca przed dwoma laty wyraził się powątpiewająco o pewnym dogmacie wiary. Zeznanie to złożyli czterej uczniowie, koledzy niedowiarka. Imiona ich ojców należą bądź do arystokracyi, bądź do krakowskiej oligarchii. Rodem kurki czubate.

Ostatecznie na postawie badań i zeznań zwołano konferencyę profesorów, które)

---

we łzach, idąc o lepsze z wielebnym nauczycielem, a gdy podrosła, czytała w kronikach o tem, co przecierpieli ojcowie, i zaciskała pięści.

Jerzy stał na czele małego koła w Pradze. Koledzy schodzili się w jego mieszkaniu, pod strychem, z widokiem na okoliczne dachy, ale ciasna ta izdebka była im pałacem, którą ożłacał zapał młodzieńczy. Z czcią religijną brali do ręki każdą czeską książkę a serca wszystkich biły równomierną miłością ojczyzny. Dla niej żyć chcieli i umierać. Kto słyszał składane wówczas przysięgi? Nikt chyba, może sam Bóg na niebie i ten tam wysoko księżyca, w wówczas jak i dzisiaj srebrzył się w pełni, nikłe promienie spuszczając na głowy głodnych, znużonych ubogich studentów...

Uśmiechnął się pan radca, ręka jego przesunęła się po tłustem ciele, brylantami sadzony guzik wypadł z rękawa i z dźwiękiem potoczył się po podłodze.

A nowe, wciąż nowe obrazy przesuwały mu się w pamięci. Czemuż się wpatrzył tak głęboko w ten cichy i skromny kątek ubogiej izdebki? Cóż on, pan radca, może mieć wspólnego z tem dziewczęciem? Nie zna jej nawet. Wszakże znał ją student... znał, u nóg jej siadywał często, drżąc ze wzruszenia, czytywał jej swe wiersze. Słuchała go z bijącem sercem, zawieszając pracę, którą żywiła siebie i matkę... Ach! wieczór ten letni tak był uroczy!.. „Bożenko! Bożenko!“ Skłoniła się ku niemu a głowa jej spoczywała na jego ramieniu tak miękko... Przycisnął ją do wrzących piersi, ucałował czoło jej i sprawowane ręce... „Na zawsze Bożenko! na zawsze!...“

Porwał się pan radca z fotelu i zaczął chodzić po gabinecie. Zatrzymał się u okna i spoglądał precz, po roziskrzonem od gwiazd niebie.

— Głupstwo! — mruknął niechętnie — sny młodociane! Tak się nie robi karyery!

A piękną zrobił karyerę! Nie ma jeszcze pełnych lat czterdziestu a jest już radcą dworu. Tylko pierwszy krok był ciężki. Pierwszy krok! Wszak i niemowlę czyni go z wysiłkiem pewnym, a potem idzie już gładko.

Tylko że pan radca nie wiedział już dziś, który to jego krok był właśnie pierwszym! Bagatele! Może nie odezwał się przez całe dwa miesiące do swych przyjaciół z Pragi, a na ponowne ich listy odpisał tłomacząc się brakiem czasu, na ich gorące słowa odpowiedział jakiemiś dowcipnemi anegdotkami, krążącemi w kółkach wtajemniczonych o panu prezydencie, który zasługiwał na uznanie pewne, gdyż nie prześladował, jak jego koledzy, czeskiego żywiołu. Na to dawni przyjaciele odpisali mu: „Widzimy że wchodzisz w erę trzeźwego patryotyzmu i winszujemy ci...“

Szaleńcy! — zerwał też z niemi na zawsze.

Był że to właśnie pierwszy zwycięski krok na drodze jego życia, czy ów drugi, gdy wieczoru pewnego, wróciwszy rozpłomieniony z zabawy u pana prezydenta, zdjął ze ściany wiszący nad łóżkiem wizerunek ubogiej Bożenki i schował go wraz ze staremi listami swych dawnych przyjaciół?...

Pomału, pomału czeskie swe nazwisko naginał do mniej kompromitującej pisowni. Po co te względy? Wszak nie uczynił tego odrazu, nie odrazu znikło upakarzające i rewolucyą tchnące *y*, ustępując miejsca bardziej lojalnemu *i*, wślizgało się ono pomału, oględnie, wstydliwie zrazu,

większość orzekła wydalenie podsądnego z zakładu a nadto uchwaliła wniosek do rady szkolnej, aby mu zabronić wstępu do wszystkich gimnazyów galicyjskich. Znaleźli się w gronie nauczycielskiem uczciwi ludzie, którzy z całych sił starali się przeszkodzić tym krokom i którzy gromili denuncyantów. I to nie bez pociechy się słyszy. Do całości obrazu nalożą poufne narady, księże zabiegi, posłuchania u biskupa, cały szereg uczynków podziemnej natury, ale przedstawiając fakt w najwiarogodniejszej ścisłości — pomijam wszystko, coby mogło trącić „koloryzowaniem."

W. Poniecki.

PIŚMIENNICTWO NIEMIECKIE.

Hartmana nowe dzieło. — Dante w świetle nowszej krytyki. — „Karykatury nazwisk."

Teorya tak zwanego „pesymizmu," której twórcą jest dr. Edward Hartman, stała się ostatnimi czasy przedmiotem szerokich opracowań filozoficznych. Na jakim gruncie wykwitł ten kierunek filozofii—wiadomo każdemu; jakie zaś są przyczyny szczególniejszego zajęcia się nim, tłomaczy nam krótko jeden ze zdolnych pracowników na tem polu.

„Systemy pesymistów—powiada on—wyrosły z różnych podstaw metafizycznych, wspólnością zaś ich jest tylko dziwaczne przypuszczenie możliwości przejścia bytu w niebyt, istnienia—w nicość i ponury pogląd na świat, znużenie życiem, chęć wyrwania się z objęcia tych wiecznych pragnień i ciągłych boleści, które tło dni ziemskich człowieka stanowią. Pesymizm jest wynikiem chwilowego stanu dzisiejszej ludzkości, jest skutkiem chmur owych, co zasnuły umysłowy widnokrąg Europy.

Dla tego też pesymizm chociaż pełen metafizycznych sprzeczności, chociaż przekręca wyniki badań nauk ścisłych. zyskuje dziś tylu zwolenników; nie urok głębokości filozoficznej pociąga do siebie umysły, lecz dźwięk struny cierpień i przesytu życiowego, co tak silnie drga w tonie systemów pesymistycznych."

Hartmann, jak rzekliśmy, jest twórcą owego kierunku filozoficznego, a przynajmniej sam ma się za takiego.

Ostatnia jego praca: *Najnowsze zagadnienia filozoficzne,* poświecona jest przeważnie zaznaczeniu tego odrębnego stanowiska *).

Dotychczasowy sąd krytyki, mianujący go uczniem Schopenhauera, odpycha on stanowczo. „Schopenhauer—według niego—sprzeciwia się realistycznej teoryi poznawania, i z tego powodu robi zarzut Kantowi, że uważał jako jedyny przedmiot wiedzy ludzkiej same tylko zjawiska rzeczy, do poznania których prowadzi doświadczenie."

„Odrzuciwszy realną stronę badań Kanta na polu „teoryi poznania," przyjął Schopenhauer wyłącznie jej stronę idealną i stawiając jako dogmat swojej filozofii: „Świat jest mojem wyobrażeniem," wcielił do niej pojęcie czasu i przestrzeni, jako subjektywnych form spostrzegania. Tem samem nie wykluczył on *ilości* spostrzeżeń a zatem uczynił zawisłym od niej *byt,* który nigdy *ilością* spostrzeżeń tłomaczyć się nie da."

Wykazawszy tym torem swoją odrębność, nazywa siebie Hartmann monistą konkretnym, Schopenhauera zaś—idealnym.

„Z Kantowskiej „teoryi poznania" przyjąłem — powiada on — tylko jej stronę realną—i tem różnię się stanowczo od Schopenhauera."

W ostatniem swem dziele, które jest ze wszech miar nader ciekawem, potrąca Hartmann krótko o najżywotniejsze zagadnienia filozoficzne, będące dziś na porządku dziennym. W jednym tomie, liczącym 298 stronnic, pomieścił dwanaście artykułów rozmaitej treści, które tak tytułuje: losy mojej filozofii w pierwszym lat dziesiątku (1869—1879); stosunek mój do Schopenhauera; szkoła Schopenhauera; przegląd ważniejszych kwestyi filozoficznych; przyczynek do zagadnień pesymizmu; do filozofii religii; filozofia i chrystyanizm; co jest nirwana?; indyjska „gnozis" albo nauka tajemnic; podstawy filozofii prawa; Kant i dzisiejsza teorya poznania; dyalektyka realistyczna.

Nadto niektóre z tych artykułów rozpadają się na szczegółowsze rozdziały.

Książka ta przedstawia w skróceniu cały system filozofii Hartmana.

Drugiem ciekawem zjawiskiem na polu piśmiennictwa niemieckiego jest dzieło znakomitego historyka literatury niemieckiej i badacza kultury wschodniej dr. Pawła Cassela *Z literatury i historyi* **).

Znajdujemy tu kilka zajmujących studyów a między niemi dwa: „Dante" i „Karykatury nazwisk."

Jak wiadomo, Julian Klaczko w swoich *Wieczorach florenckich* przedstawił polityczne zapatrywania dwóch wielkich poetów Dantego i Miltona. Dr. Cassel bierze za podstawę pracę Klaczki i stara się wyjaśnić dwóch poetów stanowiska nieco odmienniej.

Jego zdaniem Milton, chociaż żył w królestwie, był republikaninem; Dante, żyjąc w rzeczypospolitej, był zapalonym monarchistą. Milton broni skazanego króla—Dante, sprowadza niemieckiego króla przeciw własnej ojczyznie, a na Henryku VII opiera swój ideał cesarstwa. W Kromwellu wreszcie pokłada Milton nadzieję wielkiej protestanckiej respubliki. Dwaj poeci stoją na przeciwnych sobie krańcach; nie doczekawszy urzeczywistnienia swych ideałów, umarli obaj w zwątpieniu. Z dzieł jednak, które pozostawili, sądzić możemy o wartości ich pragnień.

Tym wstępem rozpoczął dr. Cassel obszerną swoją pracę, a jego sąd o dwu poetach, brzmi mniej więcej tak:

„Jako poeta nie jest Milton politykiem. Dzieła jego nie pomogą Kromwellowi do panowania, Karol I nie zostanie pokonany, Krągłe główki *) nie spadną — tylko kościelny ojciec lub papież muszą cierpić dla tego, że sobie tak życzy poeta."

U Dantego rzecz się ma inaczej: „*Polityk* w nim jest *poetą*: cała zaś jego polityka jest jednym poematem, dzieła—*najwznioślejszą epopeą rzymskiej legendy.*" Przenosi on swoje stronnictwa do nieba i piekła, sądzi przyjaciół i przeciwników, a z piekła (tj. z subjektywnych swoich pojęć i cierpień) wydaje wyroki dla świata. „Dante w dziełach swoich postawił szafot, na którym po wieczne czasy uśmiercił swoich i ojczyzny swojej nieprzyjaciół."

Autor stwierdza, że obaj poeci stali „na przeciwnych sobie krańcach," trzeba więc było dodatnie ich strony wykazać.

Studyum atoli dr. Cassela w pierwszej swojej części nosi charakter więcej polemiczny, niż naukowy.

Poglądy dr. Klaczki nie podobają mu się, bo są za wolnomyślne, *nota bene* w kierunku polityki Miltona, której nie przyjmuje dr. Cassel ze względu na własny ideał monarchizmu.

Uwalniamy natomiast autora od zarzutu stronniczości w dalszych rozdziałach studyum o Dancie, w których rzucił wiele,

*) Dr. Eduard Hartmann. *Filosophische Fragen der Gegenwart.* Berlin.

**) *Zur Literatur und Geschichte.* Berlin.

*) Byłe stronnictwo parlamentarne w Anglii.

---

aż zakwitło otwarcie. Wpośród nazwiska jednak pozostało owo c kompromitujące — śmieszne rzeczy!

Śmieje się teraz pan radca, lecz wówczas nie śmiał się. Wówczas odzywał się w nim jeszcze... Przemógł i to dla karyery... „Wszystko dla karyery!"

Przypomniał sobie cały, długi szereg podobnych drobnych szczegółów, co go dowiodły do rangi, znaczenia, bogactwa—do celu. Do celu? Bynajmniej! Daleko jeszcze do końca karyery pana radcy. Marzeniem sięgał on daleko, wysoko — po krzesło senatorskie, po ministeryalną tekę. Wszak drobne morskie raczki wpełzają na najwyższe maszty.

Czy dosięgnie szczytu swych cierpliwych zabiegów? Pan radca z uśmiechem błogim, pewny siebie, wodził okiem po drzewach ogrodu, śród gałęzi bezlistnych dostrzegając zapewne upragnioną ową rękę.

Dumnie wydął piersi:

— Jestem u celu — zawołał na głos — i dodał uroczyście jakoś: dla dobra ojczyzny.

Na dworze, w mdłym księżyca blasku, migotały śnieżne, kryształowe gwiazdeczki a nęcąc i nużąc wzrok zarazem, zlewały się w mgliste tumany, z po za których wyłonił się biały kwiat róży. Pomału z rozłożystych listków kwiecia wynurzyła się głowa dziewczęcia, postać cała w schludnych, ubogich sukienkach...

— Bożenko! Bożenko!

Obróciła na niego załzawione oczy—już jej niema... kwiat więdnie, usycha, opada...

Pan radca przycisnął do szyby rozpalone czoło, przetarł oczy... wali się przed nim mgła śnieżna tysiącem brylantowych roziskrzona pyłków.

Zdaje mu się, że sny jego młodości połyskiwały, jak te oto gwiazdki, kłębiły się jasną mgłą w jego głowie i w głowach jego przyjaciół...

Przyjaciół! Stoją tam wielkim kołem; dłoń w dłoni, zwartym szeregiem posuwają się wprost ku niemu. Na ich czole ten, co mu najmilszym bywał. Dzielili myśl każdą i każdy kęs chleba. Niedawno czytał gdzieś pan radca, że nazawsze już z uznojonej dłoni wypadło pióro, narodowej poświęcone pracy...

Pan radca wzdrygnął się i cofnął od okna. Cóż go tak przeraziło? Nic. U drzwi stał Jan lokaj.

— Jasny panie— szeptał nieśmiało z niskim ukłonem — ośmieliłem się wejść...

— Dobrze! — odrzekł pan radca.

— Jasna pani gotowa, mogłaby się zagniewać — dodał Jan pokornie.

Po kilku chwilach pan radca był też gotów, miał frak na sobie, brylantową w krawacie szpilkę, brylantowe pierścienie na ręku, wstęgę na szyi i zasłużony krzyż na piersiach.

Sylwestrowy wieczór, wraz ze swą panią, przepędził on na zabawie urządzonej przez koło „przyjaciół niemieckiej oświaty."

W programie znajdowała się wiedeńska piosenka natrząsająca się ze wszystkiego co słowiańskie.

Najgłośniej poklaskiwał pan radca i śmiał się:

— Cha! cha! cha!

Łzy mu nabiegały do oczu.

Tłom. *W. Kościałkowska.*

bardzo wiele nowego światła na tę spiżową postać poety „ludzkich cierpień.“

Jak praca dr. Cassela odznacza się świeżością obficie nagromadzonego materyału naukowego, tak znowu książka p. t. „Karykatury nazwisk“ budzi wiele zajęcia świeżością przedmiotu.

Celsus czyni nader ciekawą wzmiankę o historyi pochodzenia Chrystusa.

Według niej, Jezus był synem niejakiego *Panthery*. Celsusowi miał opowiedzieć to pewien żyd, który równie jak on nie miał zapewne o tem dokładnego wyobrażenia. Historya tego rodowodu Jezusa powtarza się wprawdzie u Epifaniusza, który mówi: „Józef brat Kleofasa a syn Jakóba nosił nazwisko *Panther*.“ Jan Damasc. idzie dalej. Podług niego miał Levi dwóch synów: Melchiego i Panthera, Panther miał syna Barpanthera, ten znów Joachima, od którego pochodzi Marya.

Epifaniusz i Jan Damasc. nie wiedzieli, że podanie o Pantherze, jako „ojcu“ Jezusa, zostało przez nienawiść żydów zmyślone. Jezus bowiem występuje jako syn Panthera w Talmudzie i Midraszu. Jest tam też przywiedziony fakt, że pewien człowiek, ukąszony przez węża, chciał się leczyć u syna Panthery—Jezusa; na co mu jednak nie zezwolił Izmael. Człowiek ten niebawem umarł, a Izmael pochował go podług obrządku.

Na innem miejscu przytacza fakt, iż pewien człowiek uzdrowiony został przez to, że krzyknięto mu w ucho imię: *Jezu synu Panthera*!

Moc Chrystusa uzdrawiania chorych, przepisywano sztuce, jest nawet podanie, że gdy miano wieszać Hamana, tenże zawołał: „Słyszycie mnie, wy drzewa, które sadziłem wonczas, kiedy chciałem odbyć podróż do szkoły syna Panthery.“

Dr. Cassel rozbiera powyższą kwestyę poważnie, źródłowo, i wykazuje świadectwami hebrajskiemi, że Jezusowi dano przezwisko Panthera z nienawiści.

J. H. Rychter.

KŁAMSTWA SOCYALIZMU.

III.

Drugiem kłamstwem nauki socyalistycznej mieni Munding wnioski, wyciągane przez nią z tak zwanego żelaznego prawa płacy. Zdaniem jego prawo to, jak je wyraził Lasalle, mianowicie, że wskutek wszechwładztwa podaży i popytu przeciętna płaca robotnicza redukuje się wciąż do zaspakajania najkonieczniejszych potrzeb życia—jest i pozostanie prawdą niewątpliwą. Prawda ta jednak nie dowodzi niczego więcej, tylko że społeczeństwo nowoczesne, skutkiem panującej w niem anarchii wytwórczej, popadło w proces rozkładowy. Wywodzenie z niej konieczności zniesienia systemu płac jest kłamstwem, złudzeniem, oszukańswem. Płaca jest środkiem przymusowym i zwierzchniczym, bez którego żadne społeczeństwo istnieć nie może, podobnie, jak państwo—bez rządu. Na jej miejsce stawiają teoretycy socyalistyczni dochód z pracy. Chcą oni zgładzić ze świata kapitalistów i zapewnić robotnikom całkowity zysk z produkcyi. W tym celu wypadnie zburzyć dotychczasowy porządek społeczny—o tem wiedzieli i śmiało przystąpili do działania. Spuścili wszakże z uwagi, że i w społeczeństwie przez nich utworzonem powstać może, a nawet musi kapitalista, to jest wyzyskiwacz taki sam, jakiego napiętnowali w dotychczasowem. Od czasów niepamiętnych bowiem duch ludzki zawsze jako dysonanse w życiu społecznem uczuwał sprzeczności pomiędzy bogactwem a ubóstwem, i od wieków ubiegał się o równość faktyczną. Na poparcie tego twierdzenia Munding zestawia kilka zdań ojców kościoła z takiemiż zdaniami bohaterów wielkiej rewolucyi francuskiej. „Bogaty jest rozbójnikiem — powiada Jan Chryzostom — potrzeba, aby powstał pewien rodzaj równości drogą odstępowania mienia potrzebującym. Lepiej by było, gdyby wszystkie dobra były wspólne.“ „Natura — mówi święty Ambroży — zaprowadziła wspólność, bezprawne objęcie posiadania — własność osobistą.“ „Zniszczyliśmy szlachtę i Kapetów — woła Chaumette — pozostaje nam do obalenia jeszcze jedna arystokracya — arystokracya bogatych!“ Tallien proponował wtrącić do więzienia wszystkich posiadających, tych — jak się wyraża — złodziejów publicznych. Uchwała komuny z 3 frimaira roku III brzmi: „Wobec panowania równości zniknąć muszą niepowrotnie bogactwo i majątek,“ a jeden z dzienników rewolucyjnych *Ami des lois*, wprost żądał, aby każdy otrzymywał nieuszczuplony rezultat swej pracy.

Nad wszystkiemi temi żądaniami wszelako historya zawsze przechodziła do porządku dziennego. Bez zwrócenia uwagi, wymijała ona marzycieli, którzy stali na jej drodze i budowali społeczeństwo z łask rozumu i humanizmu. Wysłuchiwała wszystkich owych krzyczących niesprawiedliwości, jakie spełnia własność, ale, pomimo to, ciągle ją uświęcała. Bo własność jest koniecznością. „Rozwój społeczeństwa — powiada Munding — nie jest sielanką. Jest on walką z rozlewem krwi lub bez niego. Na progu społeczeństwa stoi siła, ona stworzyła własność, jej też wytworem jest kapitał. Forma, w jakiej siła ta się objawia, czy jako brutalna przemoc fizyczna, czy też jako spotęgowana inteligencya, w gruncie różnicy nie stanowi. Jednostka zawsze zużywa się i obraca na cele społeczne. Proszę mi wymienić choćby jedną warstwę społeczną, któraby podniosła się nie dzięki wzrostowi swojej potęgi, albo inną, któraby utraciła władzę wskutek czego innego, jak wskutek niedołęstwa, rozprzężenia, oraz wewnętrznej i zewnętrznej zgnilizny. Siła tylko jest twórczą. Ona dopiero dała początek prawu. W historyi prawa odzwierciedlają się walki socyalne, zasady mocy i przemocy pojedynczych klas społecznych. Na tym czynniku podstawowym wszelkiego rozwoju jedynie i wyłącznie opiera się postęp cywilizacyi.“

Według autora, niepojętą jest zasada siły, któraby nieprowadziła do panowania i ucisku. Podług niego, każda podobna zasada wytwarza własne swoje prawo żelazne. Jeśli zaś tak jest, to i idealne, wymarzone przez socyalistów społeczeństwo niechybnie i odpowiednio do prawa o podziale pracy rozpadnie stę na osobne stany i zawody. Z czegoż żyć będą przedstawiciele pracy duchowej, stojący na czele państwa socyalistycznego? Wszak nie z jałmużny, jaką im z nieuszczuplonego dochodu swego udzielą dobrowolnie robotnicy w bluzach i fartuchach, wytwórcy wartości pożytecznych? Nie, odpowiadają socyaliści. Żyć będą z uposażenia, jakie im da państwo, ogół. Alež skoro ono pozwoli sobie na zbytek uprawy sztuk i nauk, skoro nadto jeszcze ma opłacać ukształconych naukowo urzędników, skąd weźmie pieniądzy na to wszystko, czyli wyrażając się bardziej socyalistycznie, skąd poczerpie środki dla utrzymania tego wszystkiego? Przy najlepszej chęci nie pozostanie mu nic innego, jak zabierać komuś przewyżki („Plusmacherei treiben,“ podług słów Marxa). Im wyżej wzniesie swoją cywilizacyę, im większą utwory duchowe otoczy opieką, im bardziej będzie się uduchowiać, tem gorzej wyjdą na tem robotnicy najniżsi. Cywilizacya bez zbywającego kapitału istnieć nie może, jest ona prawdziwem dzieckiem przewyżki wartości. W starożytnym świecie podporą cywilizacyi był niewolnik, w średnich wiekach—poddany, w czasach społeczeństwa kapitalistycznego—robotnik. Wszyscy oni są twórcami funduszu zapasowego, który idzie na cele społeczne. Na czyjeż barki w socyalistycznem państwie przyszłości spadłby budżet cywilizacyi? Znów niewątpliwie na barki mas robotniczych, których szeregi wzrastałyby w postępie geometrycznym, tak, że, przy wzmożonej nawet zdolności spożywczej warstw niższych, wartość społeczna ich pracy wciążby musiała się obniżać, aż doszłaby w końcu do minimum wynagrodzenia, a tem samem do—żelaznego prawa płacy. „Wszystko jedno — kończy Munding — czy płaca robotnicza, czy dochód z pracy, czy produkcya prywatna lub państwowa — pojęcia są zmienne, ale rzeczy zostają. Podobnież zostaje „żelazne prawo płacy,“ którego przemódz nie zdoła socyalistyczne państwo przyszłości tak samo, jak go odeprzeć nie mogli przeciwnicy Lasalla. Trzeciem kłamstwem podług Mundinga jest głoszone przez socyalistów pojęcie emancypacyi kobiet. W przebiegu tej emancypacyi rozróżnia on dwie fazy. Pierwsza, arystokratyczna, której początek dały pismami swemi we Francyi George Sand, a w Niemczech hrabina Ida Hahn-Hahn, odznacza się tem, że chodzi w niej o wyzwolenie kobiety z pod obyczaju społecznego, o ile obyczaj ten zakreśla pewne granice jej swobodzie osobistej i staje na zawadzie w uzewnętrznianiu jej indywidualności. Ponieważ zasadą życiową znacznej części arystokracyi jest używanie—emancypacya ta łączy wiele cech sybarytyzmu i polega na idei równouprawnienia wobec—używania. Rozpróżniaczona, koczująca, od jednego ogniska cywilizacyjnego do drugiego wędrująca arystokracya stworzyła pierwotny typ damy emancypowanej. W pierwszej tej fazie spotykamy kobietę, która pali, gra i hołduje pewnej swobodzie namiętności. Nazywa się sama nowoczesną damą salonową. Jeśli jednak bliżej przyjrzymy się temu typowi, spostrzeżemy w nim odbicie paryskiego pół-światka. Gdy już czytelnicy znudzili się kurtyzanką, jako stereotypową postacią francuskiego dramatu obyczajowego, pisarze pochwycili typ emancypowanej arystokratki-cudzołożnicy. Jedna z dam salonowych, hrabina, wiele przyczyniła się do zorganizowania demokracyi socyalnej w Niemczech. Była nią przyjaciołka Lasalla, hrabina Hatzfeld, która przed i po śmierci agitatora żywo popierała ruchy robotnicze. Źródłem drugiej fazy emancypacyjnej jest wyższe wykształcenie kobiety, a cechą jej charakterystyczną wzgląd ekonomiczny, to mianowicie, że kobieta wykształcona, bez majątku, bez widoków żadnych, na własne skazana siły, występuje w niej na rynek pracy społecznej, ażeby współzawodnicząc z mężczyzną, wyzwolić się z pod jego opieki. „Musicie się wyemancypować!— mówi Munding — wołają do tych „wydziedziczonych“ ewangieliści socyalistyczni, a dojdziecie do tego wtedy jedynie, jeśli zrzucicie z siebie więzy, jeśli wyrwiecie się z niewoli, która oddaje was na pastwę kaprysów, samowoli i tyranii mężczyzn. Zbudujcie sobie inne schronisko, aniżeli małżeństwo, które dla was wszystkich nie ma dosyć miejsca, stańcie o własnej sile i wejdźcie do wielkiej świątyni pracy naszego stulecia! *Eritis sicut viri!*“ Słowa te padły na żyzną glebę. Kobieta wstępuje do audytoryów uniwersyteckich w Europie i Ameryce, żąda miejsca na ławach obywatelstwa akademickiego. Panny o delikatnych rękach i przezroczystem obliczu studyują filozofię—Spinozy, Kanta, Hegla, Schoppenhauera, uczą się nauk przyrodniczych i nie odstraszają ich nawet trupy, rozłożone na stołach sal anatomicznych. Dokąd dążą, czego chcą? „Ponieważ—od-

powiadają—płaca nasza jest niedostateczną, chcąc żyć, musimy być zależne od mężczyzn. Emancypacya robotników właściwie jest emancypacyą kobiet. I pierwsi, i drugie są ofiarami kapitału. Obecny porządek społeczny powiada nam: „Zaprzedaj się, albo umrzyj z głodu!“ Społeczeństwo przyszłości powie: „Żyj, pracuj, kochaj.“

Ostatecznie autor dochodzi do następujących wniosków: Emancypacya kobiet, bądź pod względem społecznym, bądź ekonomicznym, w każdym razie wywołuje walkę płci przeciwko sobie; kłamstwem przeto jest niezmiernem mówić o harmonii tam, gdzie wrogo stają na przeciwko siebie siły rozkiełznane. Gdyby kobiety były wyemancypowane faktycznie i powszechnie, gdyby uzyskały prawo głosowania, co walczą już w Anglii i Ameryce, gdyby były wybierane do parlamentów—niewątpliwie doszłoby do tego, że wszyscy żeńscy deputowani zawiązaliby koalicyę pomiędzy sobą i utworzyli parlament w parlamencie. Kłamstwem również, podług Mundinga, jest to, aby kobieta była w stanie współubiegać się z mężczyzną, jako odosobniona jednostka ekonomiczna. W żadnym z zawodów męskich kobieta nie posiada tych zdolności działania, przynajmniej trwale, co mężczyzna. Dowodzą tego przykłady zarówno z dziedziny zajęć, wymagających użycia sił fizycznych, jako i z wyższych zawodów. Naturalnie, że zawsze w tej mierze pojedyncze zdarzają się wyjątki. Okoliczność wszelako, że taka wyjątkowa kobieta w Zurichu, Londynie lub gdziekolwiek zdobędzie sobie biret doktorski, bynajmniej nie świadczy jeszcze o tem, aby płeć żeńska do uprawy umiejętności była powołaną, lub też że wogólności jest uzdolnioną do zawodu naukowego. A choć bywa nieraz, że kobiety - autorki prawdziwie wielkie tworzą dzieła, pomimo to jednak posłannictwo ich literackie wcale nie przestaje należeć do rzeczy ulegających zaprzeczeniu i ze spokojnem sumieniem zgodzić się można na zdanie tych, którzy utrzymują, że literatki wogólności obniżają poziom wartości utworów piśmienniczych, kobiecą (verweiben) smak estetyczny i otwierają szerokie pole bezmyślności.

Mężczyzna i kobieta są to z natury swojej dwie istoty różne, stworzone po to, żeby uzupełniać się wzajem, a nie, żeby być równemi sobie. Kobieta winna być nie konkurentką mężczyzny, lecz towarzyszką jego gospodarczą. Sprzeczności płci godzą się w rodzinie. Zburzenie tej ostatniej byłoby hasłem do walki, w której wojowaliby ze sobą mężczyzna i kobieta dopóty, dopóki przemoc nie przywróciła znów dawnego stanu. Socyalistyczne państwo przyszłości musi albo całkowicie zniwelować płci, albo pojęciu rodziny pozostawić prawa nieuszczuplone. Jeśli nie zdolnem jest podnieść kobiety do ekonomicznego stanowiska mężczyzny, bezwzględna wolność jej jest iluzyą, a emancypacya—nieszczęściem. Wyzwalać kobiety można tylko przez odprowadzenie ich do dawnego ogniska, do rodziny, i rozpoczęcie reform od tego punktu. Wszelka inna emancypacya, prędzej, czy później, okaże się kłamstwem...

Jakkolwiek powierzchowność i fałszywość tego wywodu rzucają się w oczy, nie przerywamy go żadną krytyką i uwagi nasze pozostawiamy na koniec.

(D. n.).

Ad. J. Cohn.

PO OBU BRZEGACH DUNAJU.

III.

Przy kolacyi rozmowa schodzi na muzeum. „Wiesz pan — mówi Strossmayer — że zakładamy muzeum w Zagrzebiu. Każdym razem, gdy miałem jakiś grosz do rozporządzenia i podróżowałem po Włoszech, skupowałem obrazy do tego muzeum, które jest jednem z moich marzeń. Marzenie to ma wkrótce urzeczywistnić się. Taka to już jednak sprzeczność rzeczy ludzkich, że sprawia mi to przykrość, dziecinną może, istotną jednak — muszę to wyznać. Rozdawanie moich dochodów nic mnie nie kosztuje. Majątek biskupstwa należy do biednych, zarządzam nim i używam go jak mogę najlepiej; niczego sobie nie odmawiam, wygórowanych bowiem potrzeb osobistych nie mam żadnych; obrazy jednak, kochane moje obrazy, z nimi ciężko mi się rozstać. Znam je wszystkie, przypominam sobie, gdzie i kiedy je kupiłem, przywiązałem się do nich; patrzę na nie z przyjemnością, mam bowiem wiele, zawiele może, artystycznego zamiłowania i teraz opuszczają mnie one, muszę je odesłać. W Zagrzebiu młodzi nasi uczniowie Akademii oczekują na nie, dla kopiowania ich i czerpania natchnienia z tego źródła. Tam są potrzebne. Bez rozkwitu sztuk pięknych narodowość jest niezupełną. Mamy uniwersytet, będziemy mieli naukę; trzeba nam jednak jeszcze architektury, rzeźby i malarstwa. Jestem już stary, nie pożyję długo; miałem zamiar zatrzymać je aż do śmierci, była to jednak myśl samolubna, której się wyrzekam. W roku przyszłym, jeżeli zajrzysz pan do Zagrzebia, zobaczysz je tam. P. Krsujawi, profesor estetyki i historyi sztuki w naszym uniwersytecie a zarazem dyrektor muzeum i szkoły sztuki przemysłowej, którą zakładamy, przybył tu, ażeby je zapakować i odwieźć na miejsce przeznaczenia.“

Obrazów jest dziś 170. Są między nimi oryginalne płótna Tycyana, Guido Renniego, Pawła Veronese, fra Angelica, fra Barolommea, Andrzeja Schiavone, słowianina, który był chorwatem i nazywał się Murilicz... i wiele innych. Obrazy oceniano na pół miliona. Kilka płócien spółczesnych przedstawia epizody z dziejów kroackich.

W rozmowie ktoś z obecnych potrąca o sprawę ubiorów narodowych. „Czynimy jaknajgorliwsze usiłowania — powiada biskup — ażeby podtrzymać ten smak tradycyonalny. W tym celu założyliśmy w Zagrzebiu niewielkie muzeum, gdzie zbieramy typy wiejskich naszych ubiorów i sprzętów. Staramy się następnie upowszechniać najlepsze modele. Będzie to właśnie jedna z gałęzi nauczania w naszej Akademii sztuk pięknych. P. Krsujawi zajmuje się tem specyalnie i przygotowuje wydawnictwo temu przedmiotowi poświęcone.“ Biskup zwraca uwagę, że Slawonia (sic) była już dwa razy siedliskiem wysokiej kultury, w starożytności i wiekach średnich przed najazdem tureckim. Z owych czasów pozostały różne ślady i zabytki, zwiększane ustawicznie przez wykopaliska.

Biskup wybudował w Djakowie wspaniałą katedrę w czystym stylu włosko-lombardzkim; wnętrze pokryte freskami z historyi bibilijnej, z dziejów apostolstwa między słowianami; ozdoby wewnętrzne w surowym stylu XII wieku, z czasów, kiedy jezuici, jak się wyraża Laveleye, nie zmateryalizowali jeszcze i nie spoganizowali kultu katolickiego. Katedra kosztowała trzy miliony franków. W czasie przechadzek i przy wspólnym stole toczą się wciąż rozmowy o Dalmacyi, Bośnii, Czarnogórzu, charakterze mieszkańców i kraju... Gospodarstwo biskupie przynosi 150,000 guldenów dochodu; z tego to właśnie źródła patryota kroacki zasila tak hojnie narodowe instytucye. Jest to dochód znaczny, niewątpliwie, biskupstwo jednak zagrzebskie daje 250,000 złr. a biskup Granu, prymas węgierski, otrzymuje pół miliona złr. z majętności biskupiej. Laveleye robi słuszną uwagę, jak wielu ludzi bardziej zamożnych od Strossmayera w zupełnie odmienny sposób zużywa swe dochody...

W jednej z przechadzek Strossmayer wypowiada żywe pragnienie poznania bliżej Gladstona. Zamieniliśmy już z sobą — mówi — dużo listów, nie miałem jednak jeszcze sposobności odwiedzić go w Anglii. „Co podziwiam i szanuję w Gladstonie, to mianowicie, że w całej swej polityce powoduje się on miłością ludzkości i sprawiedliwości, poszanowaniem prawa, nawet u słabych. Gdy tak wymownie bronił bułgarów, błogosławiliśmy go z głębi naszego serca. Gladstone jest prawdziwym chrześcianinem. Ach, gdyby wszyscy ministrowie byli podobnie nastrojeni, jakże jasna i spokojna przyszłość otwierałaby się przed nieszczęsną ludzkością.“ Laveleye wspomina o przygnębieniu, jakiego doświadczył minister angielski na wieść o wypowiedzeniu wojny francusko-pruskiej. Strossmayer wyznaje w toku rozmowy, że w czasie wojny udawał się osobiście do rosyjskiego ambasadora w Wiedniu, przekładając, ażeby Rosya swem wmieszaniem się w tę sprawę powstrzymała rozlew krwi...

Laveleye na podstawie rozmów z Strossmayerem wyjaśnia początek narodowego odrodzenia kroatów i serbów. Wszak Karadzicz i Daniczicz byli tem dla tej młodej Serbii, czem Luter dla Niemiec. Stworzyli oni piśmienny język, dali mu gramatykę i słownik. Język Daniczicza przyjęty został w r. 1868 za urzędowy w Serbii. Żałować tylko wypada, że serbowie nie przyjęli łacińskiego alfabetu, tobowiem oddziela ich literaturę od kroackiej, mimo tożsamości językowej.

Gość belgijski robi wreszcie w towarzystwie Strossmayera wycieczkę do Sziroko-Polja dla przypatrzenia się zbliska kroackim „zadrugom.“

Zadrugi są to stowarzyszenia rolne, rodziny patryarchalne, posiadające wspólne, nierozdzielne mienie. Każda jest osobą cywilną i niema określonego terminu swego istnienia. Stowarzyszeni członkowie nie mogą żądać podziału ojcowizny, sprzedać lub obciążyć swych udziałów długami. W łonie tych gmin rodowych nie istnieje właściwie ustawa spadkowa; dzieci mają prawo do własności wspólnej nie na podstawie odziedziczania, lecz z mocy swych praw osobistych, jak członkowie niezniszczalnego i nierozerwalnego związku. Tylko śmierć wszystkich członków tego rodowego stowarzyszenia mogła unicestwić zadrugę. Córka, wychodząca za mąż, otrzymuje wiano, nie dostaje jednak swego udziału, równie jak i ten, kto opuszcza gminę. Zarząd zadrugi na wewnątrz i przedstawicielstwo na zewnątrz powierzane bywa wybieranemu *starszynie*, noszącemu również nazwę *gospodara*. Bywa nim zwykle najstarszy lub najzdolniejszy w rodzie. Gospodarstwem domowem kieruje *domaczika*, matrona, sprawująca władzę prawie nieograniczoną.

Gminy rodowe — mówi Laveleye — istniały w całym świecie w epokach pierwotnych. Jest to grecki *genos*, rzymski *gens*, germański *cognatio*, o którym mówi Cezar, a także średniowieczne francuskie *lignage*. Zadrugi to właśnie pobudowały w Ameryce te olbrzymie siedziby, podzielone na cele, które zwą *pueblos*, a które wydają się nam raczej wielkimi ulami lub mrowiskami, niż domami ludzkimi. Gminy rodowe istniały w całej środkowej Francyi aż do rewolucyi. W zadrugach francuskich „starszyna“ zwał się *le mayor*, *le chef de communauté*, lub *chef du chauteau*...

Odwiedziny przypadły w niedzielę, całe więc Sziroko-Polje przybrane było świątecznie. Wieśniacy w strojach ludowych, kobiety w bogato haftowanych koszulach z grubego płótna wyrobu domowego; prócz koszuli noszą tylko różnobarwne zapaski,

które zastępują spódnicę, na głowach chustki różnokolorowe. Odzież mężczyzn podobna. Kobiety mają ozdobne gorsety, mężczyzni krótkie kamizele i szerokie skórzane pasy. Laveleye przyrównywa ten strój pierwotny a przecież dogodny i ozdobny do owych długich fałdzistych tiunik, jakie nosiły greckie niewiasty. Od czasów głębokiej starożytności pozostał prawie niezmieniony. Włosy dziewcząt spadają stylu w długich kosach, mężatki okręcają warkocze wokoło głowy. Mężczyzni noszą *opanki*, rodzaj sandałów; kobiety chodzą często boso.

Przybycie biskupa poruszyło wieś całą. Na progu domostwa zadrugi przyjmuje gości starszyna i prowadzi do izby. Jest to starzec o siwych włosach, spadających mu na ramiona, trzyma się jednak jeszcze krzepko. Rysy twarzy typowo dla rasy kroackiej: nos wązki, orli, o nozdrzach wydętych, oczy szare, połyskujące i blizko siebie umieszczone, usta wązkie, ocienione długimi wąsami. Gospodarz wita przybyłych krótką przemową, zręcznie zaokrągloną — obrady w gminie i zadrugach uczą krasomówstwa. Po przejściu wrot i podwórza znajdują się wszyscy w obszernej izbie jadalnej. Umeblowanie składa się z obszernego stołu, stołków, ław i wielkiej drewnianej szafy; ściany gęsto zawieszone obrazami świętych. Na lewo duża izba, służąca zimą za wspólną sypialnię z powodu wielkiego pieca, który ją ogrzewa. Latem każde małżeństwo ma sypialnię oddzielną. Starszyna częstuje przybyłych winem własnego wyrobu i sam zasiada z gośćmi przy stole, podczas gdy cała zadruga stoi zgromadzona w pokoju. Gmina składa się z 34 osób różnego wieku, między któremi cztery pary zamężnei dwie wdowy, których mężowie poginęli w niedawnej wyprawie austryackiej do Bośnii. Zadruga ma dosyć gruntów uprawnych, hoduje 200 owiec. 30 sztuk rogacizny i posiada 6 koni roboczych. W ogrodzie, prócz jabłek i gruszek, hodowla śliwek, służących do wyrobu śliwowicy. Zabudowania gospodarskie, jak stodoły, owczarnie itd.— znajdują się w polu. Belgijski podróżnik zwiedza szczegółowo całą osadę, podziwia wyroby tkackie i hafty kobiet, wzorową czystość i porządek, jaki w niej panuje. Wszyscy członkowie rodu pracują dla wspólnej korzyści, w godzinach jednak wolnych wyrabiają przedmioty, będące wyłączną własnością tych, co je wyrobili. Dziewczęta przygotowywują sobie w ten sposób wyprawy i robią także na sprzedaż. Podobne urządzenia — jak zapewnia Laveleye — istnieją w gminach rodowych w Indyach. Spichrz zadrugi dostatnio zaopatrzony; całe gospodarstwo znamionuje dobrobyt. Inna zadruga, którą z kolei zwiedzają nasi goście, przedstawia obraz urządzeń podobnych.

Wobec tylu widocznych korzyści zapytuje Laveleye: dlaczego mimo to liczba tych starych związków wciąż się zmniejsza? Myśl, że każda innowacya jest postępem, tak się zakorzeniła w naszych umysłach — powiada ekonomista belgijski — że gotowi jesteśmy zawsze potępiać wszystko to, co znika i ginie. Autor oświadcza, że się z tego błędnego mniemania wyleczył... „Zadrugę zabija — powiada on — zamiłowanie zmian, wkradający się zbytek i naśladownictwo, duch nieposłuszeństwa, tchnienie indywidualizmu i prawodawstwo tak zwane postępowe, które się niem przejęło. Z trudnością widzieć w tem mogę rzeczywisty postęp.“

Po powrocie do Djakowa Strossmayer skarży się przed swoim gościem, że węgrzy przenieśli do Granu seminaryum bośniackie, ufundowane przezeń w biskupiej siedzibie...

Biskup z Djakowa jest gorącym zwolennikiem unii greckiego kościoła z Rzymem. Pytanie jednak, czy dążenie to doprowadzi do złagodzenia, nie zaś do zaognienia namiętności religijnych? Angielski mąż stanu lord Edmund Fitz-Maurice, żegnając Laveleya, udającego się do południowej Słowiańszczyzny, streścił położenie rzeczy w tych słowach: „Przyszłość słowian południowych zależy w znacznej części od tego, czy uczucie narodowe weźmie wśród nich górę nad rozdwojeniem religijnem. Rozwiązanie tego pytania zależy w wysokiem stopniu od samego biskupa z Djakowa.“

„Nie wiem, czy jest pożądaną i możliwą — kończy Laveleye — propaganda djakowskiego biskupa na rzecz Rzymu; dzieło jednak, któremu poświęcił całe swe życie — odrodzenie narodowości kroackiej, jest już dziś dość silnem, ażeby oprzeć się wszelkim atakom i przetrwać wszystkie próby.“

P.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Godziemby (Leona Węglińskiego) **Pienia**, Kraków 1885, tom I „Echo z ziemi łez i krwi,“ tom II „Klänge aus den Wiener Studentenjahren,“ tom III „Dzwięki z polskich sioł i pól,“ tom IV „Migotki,“ tom V „Plewa i ziarno,“ tom VI „Snopek z niw sławiańskich i obcych,“ tom VII „Pieśni od znoju i z boju.“ Razem przeszło 2,000 str.

Jak tu zdać sprawę w kilku słowach o siedmiu tomach najróżnorodniejszych wierszy? Samo czytanie tak mię zmęczyło, że nie mogę odżałować tyle czasu straconego—pragnąłbym też oszczędzić go drugim. Ale jakby to począć... sumiennie, aby nie zrobić krzywdy autorowi a z drugiej strony uwzględnić czytelników? Autor zmniejszyłby nam pracę, a sobie samemu największą zrobił przysługę, gdyby był do połowy skrócił wydanie. Tak, połowę tej plewy można było w piec rzucić. Bo czyż godziło się uwieczniać tego rodzaju wierszydła:

Zacna z Tańskich Klementyna
I Kraków Paulina
I Śmigielska, Wojnarowska,
Mielęcka, Wojkowska:
Polsce ducha swego dary
Niosą na ofiary...

A co też w naszym czasie
Polek na Parnasie!
Na ich czele Deotyma
Pierwsze miejsce trzyma:
Liberówna i Duchińska
Klimańska, Kaplińska,
Konopnicka przy Żmichowskiej
Słynne z iskry Boskiej...

Takie są ci Krakowianki
Mazowianki, Kujawianki
Wielkopolki, Kaszubianki
I Litwinki i Żmudzinki
I z Prus Polki, Ukrainki
I Szlązaczki, Haliczanki
Czarno-Biało (?!) też Rusinki
Podolanki, Wołynianki
Wszystko to krajanki
Wiejskie czy mieszczanki!...

Ale może pomyślisz czytelniku, że to przypadek tylko, łatwy do przebaczenia ze względu na szlachetną wrażliwość autora dla polek? Niestety, wierszy takich naliczyć można na kopy. Oto jeden jeszcze przykład: *W święto Zmartwychstania* Chrystus

Dał zbawienie
Odkupienie
Nam, nam, nam—
Bam—bam—bam!...

(Żołnierze) Potruchleli
Oniemieli
tam, tam, tam
Bam—bam—bam!...
(Chrystus) Choć upadał
Żydom zadał
Kłam, kłam, kłam—
Bam—bam—bam, *Bam!...*

Obok takich bzdurstw rymowanych znajdziesz niejedną prawdziwą perłę poetyczną, zwłaszcza gdy autor uderzy w strunę liryki, albo zaśpiewa piosnkę obozową... O tych ostatnich chciałoby się dłużej pomówić. Zasługuje też na uznanie zbiorek pieśni ludowych, z niw słowiańskich zebrany, owoc szczerej miłości ludu. *Pjsne morawske* tryskają iskrami dowcipu, smutny nastrój wieje z dumek ruskich. Najgorętsze są erotyki węgierskie, pełne żaru miłosnego; wszystko tam się załatwia na nocnych schadzkach z gołąbką. Szkoda tylko, że autor z obawy, aby ta strawa czytelnikowi polskiemu nie wydała się mdłą i jednostajną, pozwolił sobie domieszać swej papryki.

Poezye t. z. oryginalne odnoszą się do różnych epok życia autora i podejmują najrozmaitsze tematy. Echa z ziemi łez i krwi (1863 r.), tudzież szkice z francusko-pruskiej wojny 1870/1 r.), stoją obok ilustracyi do „Padołu łez“ Grotgera, gawędy, improwizacye, krakowiaki obok „erotków“ (ulubionej formy poety) sonetów, humoresek, sielanek, „paralel,“ romansów. P. G. szuka wszędzie natchnienia: w życiu ludu wiejskiego i u domowego ogniska, w samotności i na weselu, w kościele i na pobojowisku, w górach i dolinach—ale natchnienie ucieka przed nim. Schodzi więc do warstw najniższych, do podziemi, na targowisko rybne do warsztatów, kowalów, garncarzy, powroźników; pomówi z grabarzem lub z dzwonnikiem, zaczepi młynarza, poduma z drukarzem—nie gardzi nawet „handełesem.“ Trudno odmówić autorowi szczerych chęci i szlachetnej tendencyi. Niestety nie dopisuje mu artyzm. A i w poglądach czuć już półwiekową pleśń. Konserwatyzm występuje tu z całą naiwnością, i dla tego rozbraja czytelnika. W przypiskach i objaśnieniach wychodzi na jaw całe dzieciństwo starości... Oto próbka. W wierszu „Narzekania klucznicy“ wspomniano o kartoflu, w objaśnieniach wylicza autor wszystkie jego nazwy: ziemiak, perka, bulba, mandybura, gajda, barabola, karczocha, banda itd. itd.

W notach do I tomu, *od str. 235 do 463*, masz całą historyę polską i powszechną. W innych notach poucza nas autor kto był Humbold, wylicza dzieła Klementyny Hofmanowej, objaśnia wyrazy: wół, osioł... i podaje słownik gramatyczny. Pomijam napaść na żydów (w Plewach V 301—315) bo nie wiem, czy ona wypływa ze ślepoty, czy ze złej woli. Wogóle tkwi w tych przypiskach potężna doza dziwactw i naiwności.

H. B.

PODRĘCZNIKI.

Słowniczek wyrazów obcych. Warszawa. Nakładca tej książki chciał zaradzić istotnej potrzebie. Chociaż *Słownik wyrazów obcych* już posiadamy, jednakże od czasu jego wydania, od lat blisko czterdziestu język polski tak się nadział mieszaniną z całego świata, tak obrósł dziwotworami, że nowy klucz był niezbędny. Na okładce obecnego dziełka czytamy, że zawiera ono: „zwroty i przysłowia cudzoziemskie, używane w mowie potocznej i w *prasie peryodycznej.*“ Ta ostatnia, może bez wiedzy i woli, ale z wytrwałem niechlujstwem

pracuje nad urzeczywistnieniem bzika apostołów języka powszechnego i wytworzyła już taką gwarę, której średnio ukształcony polak bez słownika zrozumieć nie może. Pisma tygodniowe i miesięczne przestrzegają czystości i prawidłowości w wyrażeniach, ale codzienne czują nieprzeparty wstręt do jednej i drugiej. W Warszawie tak się śmiało pisze: *tenor* (treść), *stypulacye*, *sistować* (dziwolągów tych nie znajdujemy w *Słowniku*), *komasacya*, *oktrojowanie*, *missywa*, *mesaż*, *ankieta* itd.—jak gdyby już Piast do Rzepichy w ten sposób przemawiał.

Nie możemy wszakże przyznać, ażeby świeżo wydany podręcznik zadość czynił wymaganiom. Przedewszystkiem nie został on ułożony według żadnej stałej zasady, lecz tak, jak gdyby autor objaśniał to, co mu na myśl przyszło. Wyrazy obce w języku naszym podzielić można na trzy kategorye: 1) dawno przyjęte i spolszczone (np. park, raca), 2) świeżo wprowadzone (np. motor, preliminarz) i 3) używane jako określenia lub przysłowia w oryginalnej postaci (ex professo, pleno titulo). O ile dwie pierwsze grupy (zwłaszcza druga) powinny być uwzględnione, o tyle trzecia ścieśniona do wyrażeń i wyrazów najczęściej powtarzanych. Tymczasem *Słowniczek* ciągle grzeszy bądź brakiem, bądź nadmiarem. Tłomaczy, co to jest: korespondencya, korepetycya, prezydent i inne wyrazy powszechnie rozumiane; natomiast omija mniej znane—np. panaceum, kurtaksa, gryndorstwo itd. Obok objaśnień zbytecznych (np. tarcza!) znajdujemy wprost należące do słowników ogólnych. Po co np. autor umieszcza: enfant, Raps (rzepak) couche (połóż się) itp.? Z równo słusznością można by podać: Jahr, diverger, fair—wszelkie wyrazy języków europejskich. Nadto objaśnienia błędne zdarzają się zbyt często (np. Goliat—olbrzym?, eo ipso—właśnie?, empiryk—badacz „bez należytego teoretycznego i naukowego wykształcenia?"—itp.).

Przykładów, popierających powyższe zarzuty, możnaby wypisać długi szereg. Jeśli wszakże zważymy, że żadna praca nie bywa doskonałą, a słownikowa przedewszystkiem, musimy wybaczyć autorowi te błędy, zwłaszcza że zebrał bardzo dużo wyrazów, istotnie wymagających objaśnienia i że znaczną ich większość przetłomaczył krótko a zrozumiale. Skutkiem tego *Słowniczek*, chociaż nieraz zawiedzie, w wielu wypadkach, przy czytaniu książek a szczególnie gazet, odda mniej wykształconym rzetelną przysługę. I to również należy do jego przymiotów, że jest mały, treściwy.

G. Hayek **Wielki Atlas** zoologii, botaniki i mineralogii, pod redakcyą d-ra Baranowskiego. Warszawa.

Czem jest atlas naukowy, wiedzą dobrze ci, którzy siebie lub innych uczyli. Metoda kształcenia poglądowego, ogarniająca dziś wszystkie pola wiedzy, bez tego środka obejść się nie może a w wielu razach jest on dla niej jedynym. Ani żywego, ani wypchanego lwa lub sępa często nauczyciel pod bokiem niema dla pokazania dziecku. Jak trudno zaś czepiają się wyobraźni i jak łatwo ścierają się z pamięci *opisy*, nieutrwalone *obrazem*, każdy z nas doświadczył w szkołach, gdzie mechanicznie powtarzaliśmy słowa bez jasnych pojęć. To też należy się zupełne uznanie księgarni Oławskiego za podjęcie tak pożytecznego wydawnictwa, jakim jest *Wielki Atlas* kolorowany do zoologii, botaniki i mineralogii, którego dotąd wyszło zeszytów cztery z objaśnieniami. Tablice rysowane umiejętnie i barwione żywo.

LIBERUM VETO.

Warszawa jako wielkie miasto. — Porównanie i dowody. — Rzecz bezcenna a nabywana. — Pokusy Mefista. — Szczyt oszczędności, czyli 25 fenigów od skazanego na wygnanie. — Wyjazd naszych aktorów do Wiednia. — Zdanie Sonntaga o wywoływaniu w teatrze i kłopoty księżnej Eboli. — Niepoprawni. — Dziwny objaw. — Pomiatani. — Miły domek. — Wysługiwanie „powszechnego szacunku."

Wielkie miasto poznajemy przedewszystkiem po wielkiej niemoralności. Akademie, uniwersytety, fabryki —mogą istnieć i istnieją w drobnych zbiorowiskach ludzkich; Darwin otwierał nową epokę wiedzy a Bismark rządzi światem — ze wsi. Dopiero obfitość i różnorodność występków znamionują wielkie miasto. Czy Warszawa już zasłużyła na ten tytuł? Przed laty piętnastu — pamiętacie — jak życie nasze było patryarchalne, proste, barwą pierwotności pokryte: prasa śpiewała zgodnym chórem stare pieśni, przeplatając je sporami o miejsce urodzin Klonowicza lub zgonu Kochanowskiego, ludzie ze zgrozą opowiadali sobie wiadomości o śmiałych złodziejstwach lub wyjeżdżali do lasu dla obejrzenia krzaków, w których znaleziono ciało zabitego człowieka. A dziś? Ledwie zdążymy zapisywać kradzieże i morderstwa, a kto wyjął z cudzej kieszeni mniej niż 1,000 rs. nie dostępuje nawet zaszczytu wystąpienia w Kuryerach imiennie, lecz musi iść do wspólnego dołu, gdzie obliczają ogółem drobnych rzezimieszków.

Wszystko to świadczy, że Warszawa jest wielkiem miastem. Jeszcze niedawno wątpiłem o tem. Prasa nasza miała rozmaite odcienia, przedstawiała różne stopnie naukowości, talentu, zasad moralnych, ale wydobywała się z niej charakterystyczna woń zgnilizny. Nareszcie pokazał się i ten zapaszek, coraz mocniejszy, aż nakoniec tak nam zaświdrował w nosach, że musimy je ubezpieczać chustkami.

Teraz wierzę, iż Warszawa jest wielkiem miastem.

Jak wiadomo Franciszek I, przegrawszy bitwę pod Pawią, napisał do swej matki: „wszystko stracone, prócz honoru." Wiadomo również, że słowa te powtarzali często ludzie, na zielonych stolikach, na stanowiskach pracy, na polach bitew, tracący wszystko, prócz owego talizmanu, który nie posiada żadnej wartości materyalnej, a z którym człowiek uczciwy rozstaje się najtrudniej. Ten przedmiot bezcenny nieraz był celem zabiegów handlowych a nawet ofiarowano za niego znaczne sumy — zdrajcom. Między trofeami wojny francusko-pruskiej niemcy najwyżej szacują szpadę, którą Napoleon złożył w ręce cesarza Wilhelma, i obchodzą uroczyście każdą rocznicę Sedanu, a nie obchodzą pamiątki oblężenia Paryża, bo tam zdobyli francuski honor. Jak widzimy tedy, rzecz niematerYalna, nieposiadająca wartości wymiennej, nieprzyjmowana na zastaw ani w lombardach, ani w bankach, ma swój popyt i znajduje amatorów, pragnących ją nabyć, jak dawniej dyabli kupowali dusze.

Właśnie o tej sprawie przeczytałem niedawno bardzo kuszący artykuł w jednem z pism polskich. Kiedy zamyślony wpatrywałem się w jego kolumny, wyszedł z nich i stanął przede mną uśmiechnięty Mefisto, który tak przemówił:

— Obrzydzenie sprawiają ci te rozsądne słowa? Bądźże trzeźwym. Czemu wy tak strzeżecie swego honoru, kiedy on ani was broni, ani karmi, ani odziewa, a w walce o byt przeszkadza? Przypuśćmy, że twój dziad, którego bardzo kochałeś, siadał często na pewnym dużym kamieniu; kamień ten jest dla ciebie drogim, ale czyż wybierając się w daleką podróż, weźmiesz go z sobą, będziesz dźwigał, woził, opłacał koszta transportu? Przecież to byłoby szaleństwem, a co najmniej zbytkiem, którego pozwalać sobie mogą tylko bogacze. Synaj, Tabor, Golgota — są to dla chrześcian góry święte, a jednakże oni pozostawili je na miejscu i nie przenieśli do Europy. Podobnie należy postąpić z honorem osobistym i narodowym. Jest to zawada, która nikomu nie dała korzyści, a wielu pogrążyła w nędzy. Możesz coś złapać — to łap; radź się wszystkich władz swego ducha, ale nie tej, która wiecznie pozostaje małoletnią i głupią. Główny potok nieszczęścia płynie stąd, że ludzie zwykle zaczynają od tego, na czem powinni kończyć: chcą naprzód być uczciwymi, honorowymi, a dopiero później zyskać majątek, stanowisko, znaczenie — kiedy trzeba właśnie iść drogą odwrotną. Jeżeli np. potężni i zamożni niemcy umacniają w sobie dumę narodową, każdy uzna to za słuszne; ale jeśli takiego zbytku dopuszczą się słowacy, będzie on śmiesznym, gdyż roztropność zaleca im pokorę w węgierskiej skórze. Czy to raz wydziedziczony biedak, wyciągający rękę do przechodniów, uzbierał sobie z jałmużny piękny majątek? A coby się z nim stało, gdyby, podniósłszy głowę, powiedział: brzydzę się żebraniną i nie poświęcę dla jej zysków mojej godności? Kiedy bogaty na ciebie pluje, tylko się obcieraj, kiedy cię kopie, tylko cierpliwie przykładaj do sińców zimną wodę, ciągle pamiętając o tem, że może wreszcie w lepszej chwili coś od niego z łaski dostaniesz.

— Zgałganiałeś, Mefistofesie — rzekłem — skoro już takiem kuszeniem się trudnisz.

— Robię to — odparł — co dziś najlepiej popłaca: kupuję honor, godność, sumienie i inną starzyznę.

Znikł — a ja powtórzyłem sobie: Warszawa jest wielkiem miastem — prowadzi taki handel!

Honor należy do zbytku... Te wyrazy szatana brzmiały mi natrętnie w uszach. Chcąc je uciszyć, zacząłem otwierać świeżo przyniesione listy. Pierwszy z Wrocławia. Abonent nasz pisze: „Gubimy się w domysłach, jaką zasadę rząd pruski przyjął względem swych ofiar. Znowu bowiem polecił wysiedlić się tutejszemu kupcowi, zamieszkałemu w Wrocławiu od lat *trzydziestu*. Gdzieindziej tak dawno osiadłych nie rusza. Jedna tylko reguła wszędzie jest stosowaną: mianowicie policya skazanym na wygnanie przesyła swe rozkazy *pocztą* w kopercie *rekomendowanej na koszt*, ściąga więc od nich jeszcze za to dobrodziejstwo 25 fenigów. Prawdziwie—nic darmo!" Zaiste honor jest zbytkiem, którego unika naród tak oszczędny, jak niemcy. Bo z każdego innego kraju wypędzają—bezpłatnie.

Panny: Wisnowska i Chraszczewska oraz p. Tatarkiewicz wyjechali do Wiednia dla przyjrzenia się odegraniu dramatu *Arya i Messalina*, który ma być wkrótce wystawiony na scenie warszawskiej. Od pewnego czasu, mianowicie od pobytu trupy meiningeńskiej, teatr nasz choruje na niemców i stara się ich naśladować. Sądzę też, że wyświadczę mu usługę wiadomością, jak znany aktor niemiecki, Karol Sonntag, zapatruje się na sprawę „wywoływania." W *Dresdener Tageblatt* pisze on: „Wywoływanie nie jest szkaradnym zwyczajem — jak twierdzi pewien korespondent londyński — lecz, według mnie, występkiem. Dopóki wszakże jest ono wielkiem odznaczeniem, każdy aktor—a więc i ja — pragnie być jak najczęściej wywoływanym. Uznania potrzebujemy koniecznie — ono nas żywi. Nietylko daje nam chwilową przyjemność i sprawia zaszczyt, lecz wywiera wpływ na nasze artystyczne stanowisko, na całą karyerę, w życiu młodych ludzi — na całą przyszłość. Że zaś ono wyraża się w tak niedorzeczny i bzdurny sposób, jak wywoływanie, to rani du-

szę każdego aktora, szczerze miłującego swą sztukę. Niektóre teatry zabraniają wywoływania przy otwartej scenie, a dozwalają po skończonym akcie. To już nietylko głupota i niekonsekwencya, lecz niesprawiedliwość. Powodzenie bywa często szacowane według wywoływaż; otóż zdarzyć się może, iż jakiś mierny aktor, występujący w ostatnich scenach, jest ciągle wywoływany, podczas gdy znakomity artysta grający w początkowych — ani razu. Wywoływanie jednak przed końcem aktu po prostu wzywa o pomstę do nieba. Don Karlos wybiega z listem, który mu dała księżna Eboli. Pragnie ona mu pismo odebrać, woła go, dopóki jej głosu starczy — Don Karlos znika.

Książę, jeszcze słowo! Książę, słuchaj... Poszedł!
I to jeszcze! Gardzi mną — oto stoję
W strasznem osamotnieniu—odepchnięta, odtrącona!

Krzyk biednej Eboli nie wzrusza Don Karlosa, nie obchodzi go wcale; ale gdy kilka osób z publiczności zawoła, nieubłagany wraca natychmiast. Księżna, która teraz mogłaby go schwycić i list odebrać, nie powinna go naturalnie widzieć, musi z głupowatą i zakłopotaną miną odwracać się dopóty, dopóki on nie załatwi ukłonów. Wtedy ona znowu żałuje, że odszedł. Należałoby poprawić Schillera i księżna powinnaby skarżyć się, że po raz drugi została w strasznem osamotnieniu."

Prasa nasza kiedyś rzuciła nawet zbiorową klątwę na aktorów wywoływanych i wychodzących podczas sceny otwartej; przez pewien bardzo krótki czas strzeżono się „występku," ale dziś używa on dawnych praw obywatelstwa. Czy wszakże teraz, potępiony przez niemca, nie mógłby on już uwolnić od zakłopotania księżny Eboli a od zmartwychwstania zaduszonej Dezdemony? Ale nie wymagajmy za wiele i czekajmy powrotu naszej trójcy teatralnej, która nam niezawodnie przyniesie jakiś artystyczny gościniec. Czyby nie było lepiej posłać odrazu cały skład naszego dramatu i komedyi na studya za granicę— to inna kwestya, której tu rozwiązywać nie będę. Zauważę tylko objaw dziwny: Żółkowski nie przypatrywał się obcym wzorom, i mimo to gra tak wybornie nawet — arystokratów francuskich.

Kucharz jest w zamożnym domu osobą, używającą poważania; mopsik lub pinczerek jest istotą, otoczoną pieszczotami, ale lokaj, froter, korepetytor, pomywaczka i nauczycielka muszą jeść ze żłobu wszystkie brutalstwa, które im pan, pani i paniątko wsypią. Do dobrego tonu należy nietylko pomiatanie tymi, którzy nacierają olejem nauki twardo głowy „pociech" rodziny, ale nawet okpiwanie przy zapłacie. Doniesienia pism i procesy sądowe otwierają ohydny widok tych stosunków, w których znajdujemy i umizgi bezwstydne do guwernantek, i uwodzenia biednych dziewczyn, i układy z korepetytorami przez pośrednictwo stróżów. Oto znowu *Kuryer warsz.* opowiada jedną z takich sromotnych a prawdziwych bajeczek. Panna X. przez kantor stręczeń otrzymała miejsce guwernantki u państwa C, we wsi S. Na kolej do Radomia przysłano po nią gnojówkę. W domu traktowano ją na równi z niższą służbą, a „jednocześnie zmuszona była walczyć z niesfornem postępowaniem pana domu." Gdy chciała odjechać, zagrożono jej... wójtem gminy. Wreszcie uciekła do Warszawy. I cóż? A no cóż — państwo C. będą dalej „kapłanami staropolskiego domu," a pan C. pozostanie „powszechnie szanowanym obywatelem."

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Westchnienia za przeszłością. — Ich uzasadnienie. — Stan obecny. — Skargi na zepsucie obyczajów. — Walka ze złodziejstwem. — Klasyfikacya pożarów. — Śmierć w płomieniach. — Gorzkie uwagi słodkiego pisma. — Korespondent Płocki i systematyczne odurzanie czytelników. — Ogół i dziennikarstwo.

Ludzie starzy i ludzie nieszczęśliwi to mają ze sobą wspólnego, że myśl ich najchętniej zwraca się do czasów minionych, do przeszłości. W tym samym kierunku podąża dziś coraz częściej nasze dziennikarstwo. O ile jest ono przedstawicielem pragnień i uczuć społeczeństwa—o tyle musimy przyznać się albo do zgrzybiałości, albo do jakiegoś ciężkiego smutku, który nas gorszem niż zwykle przygniata brzemieniem. „Ojcowie nasi nawet w złej dobie lepiej pojmowali swoje obowiązki. Świadczą o tem sterczące zwaliska, skąd pierwsze promienie oświaty i religii na kraj się rozpostarły..." mówi ukraiński korespondent *Gazety warszawskiej.* „Dawniej rolnicy nasi lepiej pojmowali donioslość rybołówstwa, gdyż liczne szczątki grobel i nasypów w gubernii (Radomskiej) świadczą o istnieniu dużych nawet gospodarstw rybnych, z których dziś nie pozostało już śladu"—czytamy znów w *Wieku.*

Dawniej karcenie błędów i wad narodowych nazywano u nas „kalaniem własnego gniazda." Do świętokradzkiej tej czynności zdolnym był tylko przeklinany i nienawidzony przez wszystkich „obóz postępowy." Piśmiennictwo zachowawcze trudniło się lepszą sprawą—mydleniem oczu sobie i czytelnikom. Dziś, kiedy atmosfera społecznego życia stała się już tak zatęchłą, że nawet ludzie z próchnem oswojeni oddychać w niej nie mogą—dziś w najbardziej zachowawczych dziennikach rozlegają się głośne skargi na zagładę uczuć obywatelskich, na upadek obyczajów, a że skarżący się nie mają w sobie ani chęci, ani sił do nowego życia, nic więc dziwnego—że oprócz „szczątków" i „rumowisk" żadnego innego ideału wskazać nie mogą i lekarstwa znaleść nie umieją.

„Boję się, czyśmy nie zanadto zeszli z drogi posług obywatelskich i czy nie zanadto przejęli się sobkowstwem..." mówi wspomniony wyżej korespondent *Gazety.* Obawa o tyle słuszna, o ile spóźniona. „Z drogi posług" zaczęliśmy schodzić co najmniej od lat stu pięćdziesięciu. Odtąd schodzimy ciągle i schodzić będziemy jeszcze długo. Posług obywatelskich trzeba się uczyć w szkole, której nie wszystkie klasy, nie zawsze i nie wszędzie bywają otwarte. Optymistom zdawało się przez czas jakiś, że szkołę taką gorzelnia, albo fabryka cukru zastąpi; że spółka udziałowa, wytwórcza, spożywcza lub inna, albo że wystawa rolnicza i przemysłowa podejmie wszystkie obowiązki takiej akademii. Okazało się jednak, że ani do rafineryi, ani do słodowni technologia uczuć społecznych nie wpuściła, że sobkowstwo, przybrawszy postać dywidendy, zaczęło nawet domagać się takich samych odznak honorowych, jakich dawniej pragnęli ci, którzy, ciemiężąc ludność kresową i gotując zgubę własnej ojczyzny—„szerzyli pierwsze promienie religii" na stepach.

Ze wszystkich działów piśmiennictwa—roczniki życia wiejskiego są u nas najsmutniejszym. Jeżeli Warszawa lub którekolwiek z miast prowincyonalnych zdradzą się niekiedy z jakimś zamiarem działalności dodatniej, za to sprawozdania wszystkich naszych „Agricolów," „Lemieszów" itp. są nieprzerwanym wylewem skarg i wyrzekań. Słuchając ich, można byłoby przyjść do wniosku, iż jesteśmy narodem oszustów, podpalaczy, koniokradów, a przedewszystkiem barbarzyńców, wyprawiających bezmyślne harce na gruzach jakiejś starej cywilizacyi. Idealizm w traktowaniu przeszłości narodowej powstaje znów z przysypanej przed laty kilkunastu mogiły, a larwa teraźniejszości do zupełnego zmartwych powstania go zachęca. I gdyby podłość ludzka nie ciągnęła zysków ze złudzeń starca i z uniesień szaleńców—na błędy tego rodzaju można byłoby patrzeć spokojniej. Nie od dziś wiemy, jak sądzić należy o ugodach i traktatach gabinetowych i o tak zwanych prawach historycznych: słuszność ich mierzy się ilością bagnetów. Nie od dziś też zrozumieć bylibyśmy powinni, że ideały przeszłości nie mogą już rozgrzać w nas krwi stygnącej, że gruzy i zwaliska nie są jedynem naszem prawem do życia. Powoływanie się na ruiny zamków jest bronią obosieczną. W niejednej starej wieżycy — na długo przed jej upadkiem, gnieździły się sowy i nietoperze. Cóż zrobią idealiści, gdy upominany przez nich za sobkowstwo „potomek poświęcających się niegdyś przodków" odpowie: „Dajcie mi dwa tysiące białych murzynów, dajcie kilka starostw za służenie miłej ojczyznie, a nietylko zamek z gruzów podniosę, nietylko najmę księży do szerzenia „światła religii," ale wywiążę się ze wszystkich powinności, jaki włoży na mnie wszelkie bądź akcyjne, bądź udziałowe posłannictwo dzisiejsze?" Jedno z dwojga: albo żyć chcemy, albo istnienie jest dla nas rzeczą obojętną. W pierwszym wypadku marę przyszłości, nie zaś przeszłości wskazywać należy, w ostatnim—ani jedna, ani druga nic nie pomoże.

Walka z tatarem lub szwedem łatwiejszą była i wdzięczniejszą, niż dzisiaj z wrogiem wewnętrznym—biedą ogólną i upadkiem obyczajów. Z wrogiem tym toczą się u nas zapasy już od lat wielu. Ci, których przodkowie cegłę i wapno na budowę zamków nosili, nie umieją lub nie mogą wyrwać się z przeklętych uścisków: przeszłość zostawiła im zbyt mało sił i oręża, teraźniejszość dodała niewiele. Dzienniki nasze zaznaczają odnośne objawy z obojętnością kronikarzy. „Od lata t. z. banda złodziejów popełniała systematyczne kradzieże w Międzyrzecu, Wohyniu i innych osadach lub wsiach powiatu Radzyńskiego gub. Siedleckiej. Najczęściej jednak kradzieże i podpalania wydarzały się we wsi Bezwola, która *była siedliskiem bandy.* Mieszkańcy Bezwoli tak *obawiali się* złoczyńców, że nic przeciw nim nie przedsiębrali, chociaż znali ich dobrze. Dopiero niedawno na zebraniu gminnem uchwalono wysiedlić 11 *znanych* złodziejów i *żyda,* handlującego kradzionemi przedmiotami." Wyrazy i zwroty podkreślone nadają opowiadaniu barwę swojską. *Bezwola była siedliskiem bandy,* wszyscy wiedzieli o tem, ale mieszkańcy całej wsi *tak bali się złodziejów,* że dopiero, spłaciwszy im znaczny haracz, odważają się wysłać dzisiaj *11 znanych opryszków* i *żyda.* Całość obrazu psuje to tylko, że do wypędzenia łotrów nie użyto ani pokątnego doradzcy, ani znachorki. Zresztą skromna to para—chowa się pewno za kulisami. Że opiece jej ludność wiejska tak chętnie się powierza— dziwić się trudno. Nietylko ciemnota, ale i brak innej ucieczki jest tego przyczyną. Pomimo zaklinania się „przodowników," iż tylko żywioły obce zakłócają zgodność pożycia dworu i chaty—wielu ziemian naszych nie rozumie jeszcze, jakie znaczenie sprawa ta może mieć dla dobrobytu narodowego. Rasa białych murzynów i roboczych bydląt dwunożnych—nie wszędzie jeszcze należy u nas do przeszłości. Nie posuwając się do zbyt szerokich uogólnień, nie możemy powstrzymać się od zaznaczania pojedyńczych objawów, świadczących na niekorzyść chlebodawców wiejskich. Jedno takie świadectwo znajdujemy w *Wieku...* W powiecie włodawskim, w gminie Hańsk, na folwarku Lubomierz pożar *czworaków* pochłonął sześć ofiar w ludziach...

Dodać też należy, że ów dom gorszym był od obory. Spróchniały i zapadły, obłożony był słomą dla ciepła, a na dachu, żeby nie zaciekało, biała gruba warstwa słomy. Cóż więc dziwnego, że jedna iskra, rzucona na taką stertę barłogu pochłonęła tyle ofiar. Dobrze jeszcze, gdy w Hańsku znajdzie się zacny kapłan, który wytłomaczy pozostałym przy życiu parobkom, że pożar był „dopuszczeniem boskiem“—koniec dramatu będzie całkiem rodzinny, ale niech no się zjawi jakiś pierwiastek obcy, jakiś pokątny doradca, niech w „destrukcyjnej“ swej pracy wyzyska zdarzenie, niech się powoła na świadectwo sześciu zwęglonych trupów—cóż wtedy? Czy będziemy rozprawiali o podatności naszego poczciwego gruntu do przyjmowania obcego ziarna? Czy będziemy się okłamywali i ogłupiali tak gorliwie, jak tego wymaga wyższa polityka i wzgląd na „szan. abonentów?“

Czynność duszenia—niektóre z naszych dzienników pojęły całkiem poważnie. Pisma brukowe tej gałęzi literackiego przemysłu zawdzięczają swe powodzenie. Gdyby w trzech numerach podobnego dziennika nie było ani jednej plotki—znaczna część Warszawy przeniosłaby się do Pacanowa. Niedawno jedna z większych naszych gazet—w której przedtem można było znaleść poważniejszy artykuł—przyjęła również obrządek pacanowski, ale nie o tym prozelicie chcę mówić tutaj. Na sercu leży mi pisemko prowincyonalne—któremu obojętność mieszkańców Płocka kazała zmniejszyć rozmiary. W Kuryerach naszych zdarzają się czasem ciekawe spory: „pantofelka“ z „podwiązką,“ „Sylfa“ z „Sylfidą,“ „Wełnianej spódniczki“ z „Krogulcem“ itp. Są to właściwie wędki na „koszykowe“ kucharek, lubiących namiętnie tę strawę umysłową. Część publiczności, którą dany dziennik zdążył już ogłupić—również znajduje przyjemność w czytaniu owych wypracowań. Autorowie ich (reporterzy) i redakcya pisma dobrze na tem wychodzą. Pozazdrościł im powodzenia *Korespondent płocki*. W jednym z ostatnich jego numerów *Warszawianka*—odpowiada p. *Walentynianowi*, który w zeszłotygodniowej kronice miał obrazić *Płoczczanki*, pomawiając je o różowanie się, zbytki itp. Odpowiedź—którą trzykrotne *nie* mogłoby zastąpić z powodzeniem—zajęła tyle miejsca, że połowa miast gubernii Płockiej mogłaby tam podać o sobie jakąś wiadomość. Jeżeli płoczczanki są rzeczywiście oszczędne — jak twierdzi autorka—to służące ich nie będą mogły kupić dziennika, i p. *Walentynian* zmuszony zostanie szukać innego pomysłu. Czy na nim zyskają jego czytelnicy—zobaczymy.

J. Nieborski.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 29 października.

„Status quo ante“ owo najnieszczęśliwiej zbudowane zdanie łacińskie, w trzech wyrazach trzy błędy zawierające, spoczywa obecnie na ostrzu każdej politycznie piszącej stalówki i każdego dyplomatycznie przemawiającego języka. Bo cała treść przemówienia cesarza austryackiego była tylko uroczystem rozwinięciem myśli, tkwiącej w owem zdaniu. Dowiedzieliśmy się z mowy tronowej, „iż Austrya spotyka zupełne współdziałanie innych państw w dążeniach, mających na celu utrzymanie porządku ustanowionego przez traktaty“ oraz „że rząd austryacki postara się przywrócić na półwyspie bałkańskim porządek, którego niespodziewane naruszenie stało się bardzo niebezpiecznem dla spokoju i dobrobytu ludów na tym półwyspie zamieszkałych.“

W tym samym duchu przemówił w kilku artykułach *Journal de St. Petersbourg*, a *Nord. Alg. Zeitung*, organ księcia Bismarka, nie zawahała się oświadczyć z brutalnością, będącą tylko odbiciem rubaszności jej chlebodawcy, iż Europa nie pozwoli, aby awanturnicy polityczni (o panującym księciu tak się teraz mówi) śmieli naruszać jej spokój.

Książe bułgarski na pozór przyjął z pokorą oświadczenie mocarstw, lecz jednocześnie pracuje, jak donoszą depesze, z gorączkowym pośpiechem nad dalszem zjednoczeniem obu prowincyj, licząc na poparcie jednej tylko Anglii, która w osobie Salisburego oświadczyła, iż nieludzkiem byłoby rozrywać dwie prowincye, które dobrowolnie się połączyły.

Konferencya, mająca się w tych dniach zebrać w celu przywrócenia dawnego położenia rzeczy na półwyspie bałkańskim, podobno przyjęła w zasadzie zdanie Anglii, iż można i należy wynaleźć sposób pogodzenia dokonanego faktu unii bułgarskiej z poszanowaniem zwierzchniczych praw sułtana i utrzymaniem równowagi państewek słowiańskich. Zadanie to przedstawia jednak tak niepospolite trudności, iż niepodobna pojąć, w jaki sposób mogłoby ono być rozwiązane.

Prawdopodobnie będą to jakieś sztuczne kombinacye, które nikogo nie zadowolą i upadną wkrótce po ich ułożeniu.

We Francyi tymczasem energicznie oczyszczają grunt republikański z monarchicznych przymieszek. Minister spraw zagranicznych kazał zawiesić wypłatę pensyi dwom dyplomatom, niebędącym w czynnej służbie, którzy podpisali konserwatywny wyborczy manifest. Były minister Waddington za udział w agitacyi monarchicznej został z zajmowanego stanowiska dyplomatycznego usunięty. Inni ministrowie postanowili postąpić również ostro z urzędnikami, podkopującemi się pod instytucye republikańskie, których poczucie obowiązku nakazywałoby bronić.

Nie dość na tem. Rada ministrów, roztrząsając przed kilku dniami postępowanie książąt orleańskich podczas wyborów, zastanawiała się już poważnie nad pytaniem: czy nie należałoby po prostu wydalić z Francyi książąt, którzy kiedykolwiek występowali w roli pretendentów. Ostateczne postanowienie pod wpływem Grevego, przeciwnika wydalania książąt orleańskich, odłożono do chwili, gdy śledztwo w przedmiocie nadużyć wyborczych będzie ukończonem, i uchwalono tylko w zasadzie nie uciekać się do takich środków, jak zabieranie majątków.

Republikanie francuscy nie poprzestają jednak na zaczepnej walce z monarchizmem, lecz jednocześnie poważnie myślą o wzmocnieniu karności w własnym obozie. Deputowany Lockroy podał między innemi projekt zjednoczenia wszystkich grup respublikańskich w jedną całość.

Chodzi tu o uchwalenie minimalnego programu reform wewnętrznych, na które wszystkie musiałyby się zgodzić. Wymyśleć program taki nie trudno, lecz skąd pewność, że dla jego osiągnięcia radykalna partya wyrzecze się zamiaru przeprowadzenia gruntowniejszych zmian w politycznym i społecznym ustroju?

Austryacki sejm stał się w ostatnich czasach widownią gwałtownych zajść. Wywołał je dep. Knotz oskarżeniem gabinetu hr. Taafe o szerzenie nienawiści narodowej nawet w szeregach armii. Minister w odpowiedzi zarzucił lewicy, że to ona właśnie tego rodzaju rozprawami przenosi aż do szeregów spór narodowościowy. Lewica zażądała zadośćuczynienia, hr. Taafe odmówił.

Zakończymy kronikę naszą wzmianką o dwóch zamachach po przeciwległych krańcach Europy, bo w Czarnogórzu i Danii: w Cetyinii strzelano do ministra wojny Plumenaca, w Kopenhadze do prezesa ministrów Estrupa. Obaj wyszli z niebezpieczeństwa bez szwanku.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Mosk. Wiedomosti objaśniają wojowniczą politykę Serbii rozpaczliwym finansowym tego państwa.

„Mówił mi — pisze korespondent — pewien przemysłowiec serbski, że rząd tak się zaawanturował, tyle narobił długów wskutek marnotrawstwa króla i kradzieży grosza publicznego przez administracyę, że ma przed sobą tylko wojnę, albo rewolucyę. Deficyt zeszłoroczny wyniósł 12 milionów denarów; tegoroczny wyniósłby 20 milionów, ale bez uzbrojenia. Król i ministrowie mieliby ciężką, stanowczą do przebycia dobę, gdyby na szczęście śmiertelnej ich trwogi nie zażegnał przewrot rumelijski. Gdy ten się zjawił, odetchnęli, i dalejże pobudzać uczucia patryotyczne w serbach, uruchomiać wojsko itd. Udało się to szczęśliwie. Skupczyna uchwaliła pożyczkę, a w tej pożyczce utonie deficyt, tak wielki, że inaczej nie śmieliby się przyznać do niego, i jeszcze okroi się po jakim milioniku temu i owemu...“

St. Petersb. Wiedomosti żałują, iż ustanowioną została

„solidarność Rosyi koncertem europejskim. Solidarność ta wyraziła się w tem nawet, że w deklaracyi mocarstw, podpisanej w Konstantynopolu, zaznaczono z niepozostawiającą żadnej wątpliwości jasnością, iż inicyatywa tego aktu dyplomatycznego wyszła od Rosyi. Widocznie szło o pokazanie bułgarom, że ze strony rosyjskiej nie powinni się spodziewać żadnego poparcia, i że wystąpiwszy z taką inicyatywą, Rosya w pewnej mierze związała na przyszłość swoją politykę w kwestyi bułgarskiej. Jeszcze jaskrawiej tę kampanię dyplomatyczną oświetla memoryał posłów w Konstantynopolu, którego treść dotąd znana jest dopiero z telegraficznego doniesienia organu ks. Bismarka *Nordd. Allg. Ztng*. Dyplomatyczna szczerość dochodzi w tym memoryale do niebywałych granic, w czem czuć rękę żelaznego kanclerza. Memoryał nie zastanawia się nad niebezpieczeństwem zaburzeń i przelewu krwi na miejscu wypadków, ale robi zdumiewający, jak na akt dyplomatyczny, przeskok do wojny między wielkiemi mocarstwami. „Memoryał, mówi barliński półurzędowiec, w sposób najbardziej stanowczy i uroczysty oświadcza, że nie można pozwolić, aby pycha oddzielnych państw bałkańskich narażała na niebezpieczeństwo pokój między mocarstwami, przez wchodzenie w spory między sobą, albo też z Turcyą, z zapomnieniem o tem, że następstwa samolubnej ich i krótkowidzącej polityki mogą zniewolić wielkie mocarstwa do wmieszania się w spór i naruszenia pokoju, z taką pieczołowitością przez nie strzeżonego.“

Kurjer Rossyjski z tego samego powodu nietylko żało swe wypowiada, lecz rozpaczliwym tonem woła:

„Co za przygnębiające wrażenie sprawić musi ta nota na bułgarach i na wszystkich słowianach półwyspu bałkańskiego, wyczekujących swego ostatecznego wyzwolenia z jarzma tureckiego! Czyż istotnie wszystkie ofiary poniesione przez nas i przez naród bułgarski nie są jeszcze dostateczne; czyż dla osiągnięcia zamierzonego celu trzeba jeszcze nowych?

Nota, o której mowa, wprawiła i w pewne zdumienie bułgarów — to rzecz niewątpliwa. Odtąd Bułgarya nie może liczyć na żadną obcą pomoc, a więc i na naszą, bratnią także, pomimo, że ta ostatnia tyle dla sprawy wolności słowian bałkańskich zrobiła.

Ale czyż nie może czasem stać się tak, że ani bułgarowie, ani serbowie, greey, ani żadne inne narody półwyspu, uzbroiwszy się już na dobre, nie zechcą złożyć broni, pomimo wzywającej po temu noty? Co wtedy będzie.“

O PRAWDĘ.

I.

Od osoby, zajmującej w Poznaniu stanowisko poważne, odbieramy następującą replikę na artykuł w nr. 42 naszego pisma, którą pomieszczamy całkowicie, pomijając jedynie mylne przypuszczenia (np. że autorem owego artykułu jest dr. Robiński lub p. Szymański, którzy nigdy ani słowa do *Prawdy* nie pisali) oraz uwagi do rzeczy bezpośrednio nienależące:

Szanowny Panie Redaktorze! Znając tutejsze stosunki dokładnie, postanowiłem udać się do szanownej redakcyi z wyświeceniem prawdy. Jeśli przeto dobra Wasza wola, raczcie posłuchać.

Zupełną to prawdą, że Poznańskie nie jest już bezmyślną owczarnią, którąby *Kuryer* i *Dziennik poznański*, jak dotąd, na pasku wodzić mogli. A i to prawda, że nie kto inny, jak *Goniec* owo „Poznańskie" przywiódł do samowiedzy pracą około oświecenia ludu wytrwałą i jak najsumienniejszą. Przedewszystkiem *Kuryer poznański* i sojusznik jego przymusowy, *Dziennik poznański*—czyli partya brandmajstrowych ultramontanów, oraz bezradnych oportunistów—przedewszystkiem ci ludzie złoszczą się o to; bo jak jednym, tak i drugim wymykają się przez to z rąk wodze. „Legowisko więc wilczków" nie w *Gońcu* znajdziecie, ale w dwu ostatnich pismach. Na Boga, czyż świat do tego stopnia deskami zabity, że szanowna redakcya *Prawdy* dopatrzeć tego dotąd nie mogła, czy też nie poznaliście się tam panowie dotąd na stosunkach amerykańskich prasy tutejszej?!... Nie „napaści" partyi Niegolewskiego—boć to jest owa „rzesza *Gońca*!"—nie napaści partyi Niegolewskiego, powiadam, „powtarzają się stale przy każdych wyborach tutejszych," ale zawsze i wszędzie powstają prawdziwe napaści ze strony ultramontańskich brandmajstrów oraz stowarzyszenia wzajemnej adoracyi, czyli oportunistów Dziennikowych na partyę Niegolewskiego.

Napaści te niegodziwie miota osławiony tutaj ks. Kantecki, nieszczęsny redaktor ultramontańskiego *Kuryera*.

Stronnictwo owych wsteczników, którzy postanowili gasić wszelki szlachetny zapał i wszelki postęp zgnębić, aby nad ogłupiałym tłumem tem łatwiej przewodzić, to stronnictwo, wyrzekłszy się miłości ojczyzny, działa tak haniebnie i przewrotnie, w czem mu na przeszkodzie jedynie *Goniec* staje. Wszędzie ono się wciska, wszędzie tłumi światło, wszędzie lud nadzoruje. I tak: ks. Kantecki zasiada w komitecie wyborczym miejskim, jest w nim przewodniczącym, zasiada dalej w komitecie prowincyonalnym, jest redaktorem *Kuryera*, grającego zdradliwie rolę świętoszka. P. Dobrowolski, obsaczony przez ową partyę, w swoim *Dzienniku* musi rękę w rękę iść z *Kuryerem*. Oto tedy ks. Kantecki, działając w duchu swego stronnictwa, tyranizował partyę Niegolewskiego, pisząc niestworzone rzeczy o jej napaściach. Bezprawie jego do tego doszło stopnia, że na zebraniach nie dopuszczał do głosu członków stronnictwa Niegolewskiego, a udzielał go swoim partyzantom. Nadużycie owo wyczerpało cierpliwość partyi *Gońca* i wywołało — powiedzcie panowie czy niesłuszne? — oburzenie i pretensyę jej stronników. Partya zaś Niegolewskiego, idąc wstępnym bojem, a będąc dosyć silną i dobrze zorganizowaną, ledwo że nie wyrzuciła z komitetu ks. Kanteckiego. Przeszkodził temu jedynie pan dr. Szymański, redaktor *Orędownika*, który w swoich osobistych znów celach, grając rolę trybuna ludu, podburzył chłopów na szlachtę, używszy do tego tak zwanej ordynacyi gminnej, przez którą (nie istniejącą zresztą u nas wcale!) nibyto chłopi mieli potracić swoje osady. Tenże pan Szymański, biorąc znowu niby stronę biednych rzemieślników mieszczan, podburzył ich przeciw tak zwanej inteligencyi i szlachcie, a tymczasem nie przeszkadzało mu to wcale być stronnikiem teutonizmu. Orzekł on bowiem w *Orędowniku*, że prędzej, czy później niemcami zostać musimy, a więc im prędzej się temu poddamy, tem dla nas lepiej będzie. Otóż ów dr. Szymański uwziął się zostać posłem na sejm berliński—stanął więc na zebraniu przedwyborczem ze swą wymusztrowaną falangą. Chcąc zapobiedz temu, iżby nie zwyciężył—co byłoby dla nas prawdziwą klęską—zjednoczyły się chwilowo z konieczności stronnictwa wrogie *Kuryera* i Niegolewskiego. Stąd poszło, iż pozostawiono dawny komitet, a w nim i znienawidzonego ks. Kanteckiego, który—nawiasem powiedziawszy—partyę Niegolewskiego publicznie na owem zebraniu przeprosił. Tak się więc rzeczy miały z owemi mniemanemi napaściami partyi *Gońca*.

Co do jego redaktora, możnaby mu dać tutaj pokój. Przecież nie osoba pana Rzepeckiego, ale jego działanie nas tu obchodzić powinno. Jakie zaś to działanie, najlepszym dowodem i ta okoliczność, że obecnie powstają wiece tak zwane chłopskie, na których chłopi z kalendarzem *Gońca* w ręku, gdzie wydrukowane wyciągi z traktatów wiedeńskich, przyrzeczenia królewskie i rozporządzenia ministeryalne, wymownie bronią sprawy naszej, opierając się na owych dokumentach i przytaczając słuchaczom ich treść dosłownie.

Otóż to *demonstratio ad oculos!*

Że p. Rzepecki jest katolikiem, nie idzie za tem, iżby miał być nietolerantem i „furyatem ultramontanizmu." Gdyby był takim, toćby go falanga naszych „czarnych sukien" przygarnęła do swego łona. Wiadomo zaś powszechnie, iż czarna owa falanga nienawidzi p. Rzepeckiego do najwyższego stopnia i *Gońca* jego zakazuje pod błogosławieństwem (?) ludowi czytywać.

Że zaś p. dr. Rzepecki, niegdyś profesor matematyki przy tutejszej szkole realnej, z której go dla patryotyzmu wydalono, ma *bardzo* jasną głowę, a przytem jest człowiekiem *bardzo zdatnym*, każdemu to u nas wiadomo. Kto o nim przeciwnie orzekł, albo go nie zna wcale, albo też złośliwie mu szkodzi. Partya postępowi i światłu przeciwna dawno najrozmaitsze na niego rzuca kalumnie. Ma i p. Rzepecki, jak każdy z nas, wady; bodajby wszakże u każdego z nas zalety, a mianowicie bezgraniczna miłość ojczyzny, do tego stopnia przeważały wady, jak się to u niego dzieje! Trudno dziś więcej powiedzieć. Przyjdzie czas wszakże, gdzie spotwarzony i zapoznany dzisiaj dr. Ludwik Rzepecki sławiony będzie jak jeden z najświatlejszych i najzasłużeńszych ziomków naszych.

Prawdzic.

Czy dr. Rzepecki jest głową „jasną" i katolikiem umiarkowanym — o to sporu z autorem prowadzić nie będziemy, dostrzegając widoczną między nami a nim różnicę w pojmowaniu jasności i umiarkowania; że redaktor *Gońca* kiedyś sławiony będzie „jako jeden z najświatlejszych i najzasłużeńszych ziomków naszych" — także gotowiśmy przypuścić na odpowiedzialność szan. wróżbity. Tylko że dr. Rzepecki nie posiada przymiotów potrzebnych dla wytworzenia w Poznańskiem partyi rzetelnie demokratycznej — to na dziś jest dla nas więcej niż pewnem, bo właśnie czytywaliśmy i czytujemy jego wydawnictwa. W pojedynczym wypadku — w jakiemś starciu lub awanturze — może on mieć słuszność, ale jego program pozostaje ciągle mętnym, działalność zwichrzoną, a zasady zbyt klerykalizmem nasycone. *Red.*

II.

Od p. K. Lilpopa odbieramy list następujący:

Szanowny Redaktorze! W nr. 43 *Prawdy*, znajdujemy artykuł pod tytułem „Ciekawa kartka," w którym zarówno cyfry jak i fakty przytoczone, a dotyczące działalności Towarzystwa „Lilpop, Rau et Loewenstein" wymagają sprostowania i bliższego objaśnienia. Unikając rozwlekłości, zwrócimy uwagę na niektóre bardziej wybitne błędy: awansy rządowe na obstalunek 3,000 wagonów wynosiły rs. 500,000 nie zaś milion — nadto suma umieszczonych u Skarbu obligacyj wynosiła rs. 800,000, gdy w artykule, o którym wyżej mowa wymieniono milion rubli.

Rządowy obstalunek szyn stalowych wynosił nie 1,200,000, lecz 1.800,000 pudów; awans na ten obstalunek rs. 690,000 nie zaś milion 1) rubli.

Przy emitowaniu 1,500 akcyj fabryki stali, główni kierownicy zakładu nie wzięli na swój osobisty rachunek ani jednej akcyi; przeciwnie, starali się o umieszczenie takowych u osób mogących mieć wpływ na przyszły rozwój przedsiębiorstwa: nabyli zaś w przyszłości tyle tylko akcyj, ile z podziału 650 sztuk należących do Towarzystwa „Lilpop, Rau et Loewenstein" na ich udział przypadało.

Zaznaczamy przytem, że dzięki staraniom i wpływom osobistym p. W. E. Rau, Towarzystwo Starachowickie, które niezależnie od fabryki stali posiadało obstalunek rządowy na 1,000,000 pudów szyn, przelało takowy na rzecz Warszawskiej fabryki stali, nabywając natomiast udział 300 akcyj gotowizną wypłaconych 2); ta kombinacya rozszerzyła działalność Towarzystwa Fabryki stali w jej zawiązku i powiększyła znakomicie zyski przy wykonaniu obstalunków osiągnięte. Sprostować również należy, że p. Rau nie był wcale gerentem fabryki stali 3), a zatem, ani wysokiej pensyi ani tantyemy z tego tytułu nie pobierał; był on jednym z 6-u członków Rady zarządzającej, która powołała go na swego prezesa.

Najbardziej jednak rażącym zarzutem „Ciekawej kartki" jest przypuszczenie niesprawiedliwości jakoby popełnionej przy rozdziale 650 akcyj Fabryki stali pomiędzy właścicieli 2,000 akcyj Towarzystwa „Lilpop, Rau et Loewenstein" z uszczerbkiem drobnych akcyonaryuszów; faktem jest bowiem, iż podział był dokonany ze ścisłością matematyczną pomiędzy wszystkich bez wyjątku akcyonaryuszow *pro rata parte* posiadanych udziałów, tak że nawet właściciel jednej akcyi otrzymał prawo do odpowiedniej części akcyi Fabryki stali — i bądź kupując inny cząstkowy udział dochodził do całości akcyi, bądź też sprzedając swoją cząstkę zyskiwał wysoką już wówczas premię 4).

Wracając do Towarzystwa „Lilpop, Rau et Loewenstein" p. W. E. Rau, posiadał od założenia tegoż trzy ósme wszystkich akcyj Towarzystwa; pobierał w pierwszym 5-cio letnim okresie połowę tantyemy na dwóch gerentów przypadającej. Ciężar więc wypłacania mu tantiemy przez akcyonaryuszów, redukuje się do jednej ósmej całości tejże; resztę, t. j. trzy ósme sam. jako właściciel udziału ponosił z dywidendy od własnych akcyj; w drugim 5-cio letnim okresie przestał być gerentem i pobierał, jako członek Rady zarządzającej (o tyle o ile dywidenda przewyższała 6%) tantyemę wspólnie z innymi czterema członkami rady. Pensyi zaś stałej pobierał rs. 3.000 tylko do epoki utworzenia towarzystwa akcyjnego. Wyjaśnienia powyższe nie wymagają komentarzy.

W dalszym ciągu artykułu jest mowa o chwilowem jakoby zawieszeniu wypłat przez Towarzystwo „Lilpop, Rau et Loewenstein" wskutek katastrofy z mostem Iwangrodzkim: sam fakt, iż od owej epoki upłynęło 15 miesięcy nieprzerwanej działalności Towarzystwa, dostatecznie zbija powyższe twierdzenie, wygłoszone bezzasadnie, a mogące przynieść moralną ujmę Towarzystwu.

Przytoczone przez cyfry, wyjaśnione przez nas fakty, zamkną, spodziewamy się, tę publiczną dyskusyę o interesach Towarzystwa „Lilpop, Rau et Loewenstein" — dyskusyę nader szkodliwą dla dalszego rozwoju tegoż Towarzystwa.

Poczuwamy się przytem do obowiązku oświadczenia, że w całej tej sprawie i we wszystkich fazach jej rozwoju, kierownicy i główny jej kierownik p. W. E. Rau, mieli na względzie jedynie rozwój interesu i dobro wszystkich biorących w nim udział, co uwidoczniło się dobitnie w rezultatach działalności Towarzystwa przez lat wiele. Jeżeli dziś interesy Towarzystwa mniej świetnie się przedstawiają, przyczyny z tego szukać należy w ogólnym ekonomicznym zastoju kraju, którego skutki przedewszystkiem przemysł odczuwa. Winić tu osoby trzecie, zwłaszcza te, które, wskutek tylko co wspo-

mnianych powodów, żadnych w ostatnich latach z interesu nie ciągnęły korzyści, poświęcając mu jednak swój czas i pracę, a tembardziej potępiać je niesłusznie, jest czynem przeciwko któremu czujemy się w obowiązku jaknajenergiczniej zaprotestować. I dlatego, Szanowny Redaktorze, prosimy Cię o umieszczenie w najbliższym numerze Twego pisma niniejszego sprostowania, które przesyłamy z upoważnienia i w imieniu główniejszych akcyonaryuszów Towarzystwa.

Karol Lilpop
Henryk Marconi.

---

1) Wszystkie powyższe cyfry wzięte zostały z *Gazety losowań*.

2) *Gazeta losowań* mówi tylko o jednym obstalunku na 1.200,000 pudów i oddanym w części przez Zarząd zakładom Starochowickim i fabryce w Ruhrort. *Gazeta* nazywa krok ten Zarządu błędem, co do mnie, nie mając innych danych, nie mogłem nie dopatrzeć tu raczej dobrze zrozumianego osobistego interesu zarządzających.

3) Nie utrzymywałem, że p. Rau był gerentem fabryki stali, lecz tylko zakładów L. R. i L.

4) Postanowienie rozdziału akcyj uważam dalej za niekorzystne dla interesów Towarzystwa, a zwłaszcza dla mniejszych akcyonaryuszów, choć chętnie wierzę, iż wielu z nich poradziło sobie przez kupno innego działu lub sprzedaż posiadanej cząstki z premią.

Sprostowanie powyższe doszło do rąk mych już w chwili oddawania go do druku i dlatego zmuszony jestem ograniczyć się na ponownem zapewnieniu, iż wszystkie cyfry i fakty wziąłem z *Gazety losowań* z tą tylko różnicą, iż uważałem za obowiązek wymienić osoby i nazwać rzeczy po imieniu.

„Energiczny protest“ akcyonaryuszów najlepszym jest dowodem, iż fakty powyższe, o ile relacya *Gazety losowań* była prawdziwą, zasługiwały na „energiczne wystąpienie.“ Skoro zaś jest błędną, żałować tylko wypada, że akcyonaryusze w ciągu trzech tygodni pokrywali zarzuty *Gazety losowań* milczeniem, oraz, że najważniejsze sprawy, a mianowicie odmowa kredytu ze strony p. Rau i innych firmowych wspólników oraz wystąpienie z propozycyą likwidacyi — nie zostały w sprostowaniu dotknięte.

Zygmunt H.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowe drogi żelazne. Przeprowadzenie studyów oraz sama budowa linij dróg żelaznych od Brześcia do Chełma i od Siedlec do Małkini, powierzoną zostanie inżenierowi Serebriakowowi.

Przytułki noclegowe, założone w roku zeszłym, za kilkanaście dni funkcyonować już zaczną, termin otwarcia ich bowiem naznaczony został na dzień 1-szy listopada. Będzie pięć i jeden na Pradze, otwierane zaś będą o godzinie 6-ej wieczorem.

Wydalonych z Prus przybyło: do Warszawy 12, do gubernii warszawskiej—350, do gubernii płockiej—817, do gub. kaliskiej—108, do gub. piotrkowskiej—356, do gub. kieleckiej—76, do gub. radomskiej—1, do gub lubelskiej—8, do gub. łomżyńskiej—20 i do gub. suwalskiej—63, ogółem do Królestwa polskiego, licząc kobiety i dzieci 1,768.

Stowarzyszenie emerytalne górników. Sprawą tą ma się zająć zapowiedziany już zjazd górników w Warszawie. *Dziennik łódzki* oblicza z tego powodu, iż przypuszczalna liczba uczestników towarzystwa emerytalnego w jednym okręgu zachodnim wyniesie 9,580 osób. Dotąd robotnicy ci nie posiadają żadnej ogólnej instytucyi przezorności.

Towarzystwo Kredytowe m. Kalisza. Zapisy na członków nowej instytucyi kredytowej dały tak pomyślny rezultat iż nową instytucyę należy uważać za ustanowioną.

Jarmark w Charkowie nie wróży pomyślnych rezultatów. Ruch handlowy źle się zapowiada, a wypłaty odbywają się z trudnością.

Telefony Ochorowicza zamierza zaprowadzić w Petersburgu towarzystwo specyalnie w tym celu założone.

W szkole Sztuk Pięknych w Krakowie nastąpiło 15 b. m. otwarcie nowego roku szkolnego. Podczas aktu inauguracyjnego przemawiał Matejko, występując przeciw szerzącemu się brakowi wiary i zalecając młodym adeptom sztuki pielęgnowanie gorących uczuć religijnych.

P. Wiktor Czajewski złożył dyrekcyi teatrów warszawskich czteroaktową komedyę swoją p. t.: „Spadek w Ameryce.“

P. Mendez, zaproponował teatrowi warszawskiemu wystawienie baletu p. t.: „Warszawa przed stu laty i dzisiaj.“ Propozycya została przyjętą i ujrzymy niezadługo na scenie balet na temat, który, zdawałoby się, wcale do baletu się nie nadaje.

Muzeum Kopernika w Rzymie otwarte być ma stanowczo dnia 19 lutego 1886 roku.

P. Edmund Dylewski bronił na posiedzeniu uniwersyteckiem rozprawy p. n. „Państwo i jego organa prawodawcze w nauce polityki polskiej XVI wieku“ i uzyskał stopień kandydata praw.

Na redaktora „Pamiętnika towarzystwa lekarskiego warszawskiego“ wybrany został jednogłośnie dr. Jadyński.

Najnowsza komedya Björnsterne Björnsona, nosząca oryginalny tytuł: „Geografia i miłość,“ przedstawiona była w tych dniach po raz pierwszy w Chrystyanii.

Kraszewski po złożeniu kaucyi 20,000 marek opuścił już Magdeburg i wyjechał do południowych Włoch. Udzielony mu „urlop“ potrwać ma cztery miesiące. Czy prawda?

Bibliografia. Byron. *Don Juan* w przekładzie Edwarda Porębowicza.

Służba zdrowia. W gubernii warszawskiej, niezależnie od Warszawy, znajdowało się w r. z. lekarzy powiatowych 13, więziennych 3, miejskich 4, szkolnych 2, szpitalnych 8 i weterynarzy okręgowych 7. Felczerów etatowych było 17, akuszerek 12. Wolnopraktykujących lekarzy znajdowało się 43, weterynarzy 6, felczerów 156, akuszerek 126. Aptek normalnych istniało 43, filialnych 2, wiejskich 9.

Budżet miejski. Przewyżka wpływów nad wydatkami w budżecie miejskim na r. b. wyniesie—jak dowiaduje się *Kur. warsz.*—rs. 12,180. Obroty pieniężne m. Warszawy przedstawiają: dochody zwyczajne rs. 2,153,095, przejściowe rs. 61,995, nadzwyczajne rs. 1,322,666, a ogółem dochody obliczone są na rs. 3,537,756, wydatki zaś następujące: zwyczajne rs. 2,137,694, przejściowe rs. 61,995 i nadzwyczajne rs. 1,325,886.

Konferencya o handlu ze wschodem rozpoczęła się w dniu 22 b. m. Postanowiono, iż do związku komunikacyi zamorskiej przystąpią: droga żel. Dąbrowska, oraz kolej Nadwiślańska z dwiema stacyami Lublinem i Chełmem.

Projekt nowej ustawy leśnej opracowało ministeryum dóbr państwa, podług wzorów prawodawstwa niemieckiego, francuskiego, austryackiego, włoskiego i belgijskiego. Ustawa ta dzieli wszystkie lasy w państwie na dwie kategorye, mianowicie: a) na takie, które bezwarunkowo podlegają zachowaniu i b) na takie, które mogą być rąbane przez ich właścicieli, lecz tylko z zachowaniem ustanowionych przepisów.

Olbrzymi kanał. Wiedeński inżenier Hobb stara się u rządu austryackiego o koncesyę na kanał łączący Elbę z Morawą. Inne kanały w tym systemie połączyć mają Elbę z Odrą, Odrę z Wisłą, Wisłę z Dniestrem, a więc morze Niemieckie i Bałtyckie z Czarnem.

Wartość weksli protestowanych w gubernii warszawskiej wynosiła w 1876 roku 1,583,886 rubli, w ubiegłym zaś 1884 roku 10,572,587 rubli, a więc przeszło sześć razy więcej.

Komitet dyskontowy przy warszawskim kantorze banku państwa składać będą: pp. Stanisław Brun, Edward Jantzen, Stanisław Kronenberg (przedstawiciel firmy bankierskiej Leopold Kronenberg), Michał Lande, Herman Mayer, Ludwik Starkman, Bronisław Werner i Stanisław Wołowski.

Zmarli. Robert Springer, pisarz filozoficzny niemiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czyt. Prawdy. Zwłaszcza odpowiedź na interpelacyę pańską ubawiła nas serdecznie. Ale prosimy — nie ponawiaj jej Pan nigdy.

Kuryerowi warszawskiemu. Macie Panowie słuszność, że z pojedyńczego faktu nie należy wyciągać wniosków ogólnych, i dla tego my, przeczytawszy w telegramie Waszego pisma, że ciało W. Hugo będzie złożone pod „arką tryumfalną,“ nie zwątpiliśmy, że pomimo to znacie język francuski. Ale inna rzecz gdy *Kuryer* przez wiele lat z rzędu służył za zwierciadło, w którem przeglądał się zbytek. Że owo zwierciadło przeniosło się może do innego pisma, że *Kuryer* obecnie ze swoich ram takie odbicia usuwa—to jego niedawnej przeszłości wcale nie zmienia. Z zaprosin do studyów nad nią w redakcyi Waszej nie skorzystamy, gdyż za bezpieczeństwo pożyczonych kilku roczników *Kuryera* jesteśmy jeszcze odpowiedzialni. Gdybyśmy zaś nawet wątpili, że kiedyś i gdzieś w *Prawdzie* wydrukowano coś o *synie* zamiast *synu*, to nie mielibyśmy serca pozbawiać Panów tej słodkiej pociechy i prosić o wskazanie numeru. Podpisujemy na słowo.

L. Prosimy o zgłoszenie się do redakcyi w godzinach oznaczonych.

A. Z. w Krakowie. I te wiersze ani treścią, ani formą nie dla nas. Wyrażenia takie, jak: „z hukiem (?) się toczą słońca promieniste,“ „a imię (?) jego: był, jest, wiecznie będzie,“ lub rymy: „podawają—zlewają, tchnienie - zachwycenie, marzenie—pienie“ itp. — są zbyt zaniedbane i nielogiczne. Roczniki *Prawdy* z pierwszych trzech lat wyczerpane.

Czytelnikowi. Niewątpliwie, ale trzeba czekać wyniku sprawy rozpoczętej na miejscu. Redakcye, których posyłki pieniężne dla szlązaków uległy aresztowi—powinny się upomnieć.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. F. G. E. rs. 5.

Dla pogorzelców Grodna. A Antuszewski z Uzłowej, rs. 2 kop. 45.

Dla polaków wydalonych z Prus. Dr. Guliński z Kamieńca, rs. 3 kop. 75, B. Pinielowicz z Oratowa, rs. 1 kop. 50.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Октября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski